Egzemplarz obowiązkowy BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN
czas. 2552/1979/13

W NUMERZE:
CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

„ŹRODŁA"

z reportażami

kamena

LUBLIN 24 VI 1979 NR 13 (681) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

DNI MORZA

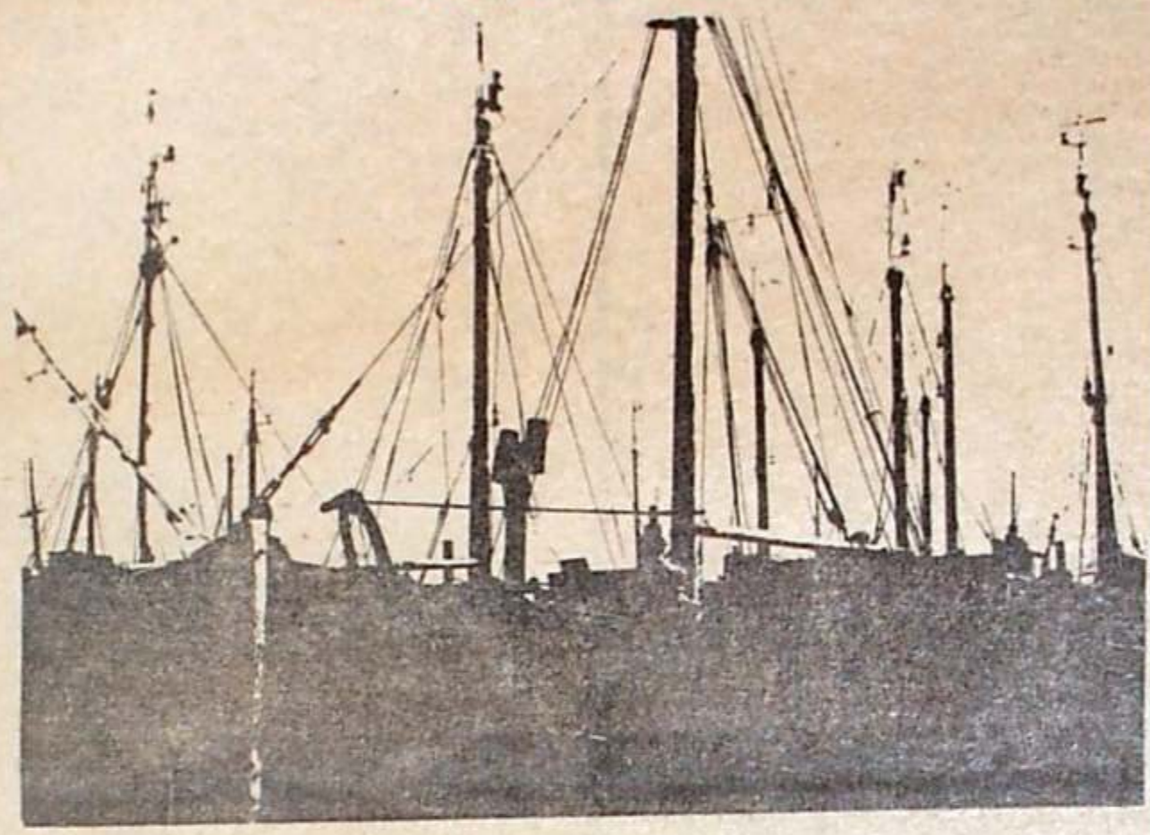

Kutry w Jastarni

Fot. Zbigniew Zugaj

Nalot wampirów

Bronisław Kowalski

Doktor Korczyński zapytał mnie badawczo:
— W czym pan nam może pomóc?
— W niczym — odpowiedziałem.

LECZNICA była pusta, to znaczy nie znajdowało się w niej żadne zwierzę, wymagające zabiegów. Wprawdzie przed bramą ktoś uwiązał dwie krowy, jedną spokojną, drugą nerwową, ale tylko po to, by zwierzęta odpoczęły w cieniu od skwaru południa.

Może niezbyt zgodnie z przepisami wszedłem do budynku od strony sali zabiegowej i zobaczyłem wewnątrz niej chory samochód. Stał na środku, a przy nim kręcił się mechanik. Samochód zachowywał się spokojnie.

To była lecznica dla zwierząt w Rudniku. Wysłał mnie tu naczelnik Dudziński, a przedtem do naczelnika Dudzińskiego wysłał mnie naczelnik Boniek z Nielisza, który kłopotów z wampirami nie miał, lecz za to wiele innych. Z tego głównie powodu, że wszystkich wokół zna, a oni jego i gdy przychodzą do urzędu, słyszy zza drzwi pytanie:

— Mietek jest?

Sekretarka nie śmie zapytać, kto to Mietek, a chodzi o niego i naczelnik wie, że będą kłopoty.

— Jakie?

— Ojej, redaktor kochany, jakby tak zacząć wyliczać, to mózg staje.

Dokończenie na str. 11

Naprawdę kraśnicki...

Ireneusz J. Kamiński

PRZED rozpoczęciem majowego XI Festiwalu Pieśni o Ojczyźnie w Kraśniku miasto zostało dokładnie uporządkowane, wypucowane, stosownie przyozdobione. Ulice, budynki instytucji, ale i posesje prywatne wyglądały w owych dniach schludniej, ładniej, widać było na pierwszy rzut oka, że ich użytkownikom i właścicielom faktycznie zależy na przedstawieniu się gościom z różnych stron Polski w sposób nie skłaniający do krytyki czy dowcipów na temat małomiasteczkowej „estetyki". Makijaż miasta nie był przy tym następstwem jedynie zarządzeń władzy miejscowej, lecz także, a może przede wszystkim, zbiorowej chęci współtworzenia imprezy, którą Kraśnik uznał za swoją.

A kiedy ponad 1000 uczestników Festiwalu zjechało do 32-tysięcznego miasta, zadbano o zakwaterowanie ich w przyzwoitych warunkach i o taki stół — mimo sporych trudności, przekraczających, zdawałoby się, możliwości organizatorów. Nie ulega wątpliwości: Kraśnik udowodnił, że stać go na Festiwal, że impreza przyśpiesza nieco tętno codziennego życia obywateli, stanowiąc nie tylko fakt artystyczny, ale i coś w rodzaju elementu stylu bycia o ważnej, bo jakby nobilitującej funkcji. Poświadczały to tłumy publiczności w niemal wszystkich imprezach festiwalu, udowodniło to siedem tysięcy ludzi, którzy szturmowali amfiteatr o pojemności trzech tysięcy w dniu koncertu galowego. Do jednego też wniosku prowadzi fakt błyskawicznego rozkupienia przez widzów tysiąca egzemplarzy Biuletynu WDK w Lublinie, poświęconego w całości Festiwalowi, redagowanego i drukowanego na gorąco, z godziny na godzinę, z dnia na dzień imprezy. Kosztował 5 zł, ale ludzie dawali i po 10—20, a nawet po 100 zł, dlatego zapewne, że dochód ze sprzedaży wydawnictwa przeznaczono na Centrum Zdrowia Dziecka.

Wspominam o sprawach, którymi nie zaśmiecają sobie głowy sprawozdawcy z festiwali piosenkarskich w Opolu, Sopocie czy Kołobrzegu, kierujący swoją wrażliwą uwagę na jakości autonomicznej i interpretacjach samych utworów, ewentualnie na co pikantniejszych historyjkach zza kulis. Wspominam, bo wydaje mi się to całkowicie uzasadnione w sytuacji imprezy odbywającej się w stosunkowo niedużym mieście, znanym dotąd w kraju z fabryki łożysk tocznych, przeniesionej do historii walkami partyzantów i legendarnym pułkiem ułanów zmotoryzowanych, którego żyjący jeszcze żołnierze zjadą 6 lipca do Kraśnika ze wszystkich prawie kontynentów. Ale to miasto o niekiepskiej biografii dopiero od niedawna żywiej zajęło się sprawami kultury, fundując jej na przykład plenery malarskie o charakterze ogólnopolskim i muzeum, które być może doczeka się w przyszłości koniecznej rozbudowy zaplecza i liczniejszego personelu. W momencie inicjacji Festiwalu Kraśnik nie chwalił się przecież ciekawszą tradycją aktywności kulturalnej, a na domiar wszystkiego nadał tej swojej pierwszej większej imprezie formułę tyle ambitną i pożądaną ze względów ogólniejszych, co trudną do utrzymania na dłuższą metę: repertuar pieśni partyzanckich okazał się wyczerpalny... Jednym z trwałych efektów tamtego przedsięwzięcia był funkcjonujący do dzisiaj amfiteatr, zbudowany w czynie społecznym.

Dokończenie na str. 4

Henryk Kozak

ULEWA

Ten deszcz chyba nigdy
nie przestanie padać
zamartwiają się wierzby

i żyta

stóg siana przykrył się słomianym dachem
w okno
wiąz bez przerwy puka

Sad aż po pas

we mgle się zanurzył
w malinach przykucnął trwożny zając
już wie że deszcz

zatopił psią budę

Tak mijają godziny
stare kobiety na drogę wychodzą
nasłuchują czy nagle
sygnaturka nie obwieści
że to potop

Ale o północy jakby
im na przekór
przestaje padać
gwiazdy na spacer wychodzą
zboża rozprostowują plecy
rzeka i rowy
łapczywie spijają z dróg wodę

Ze zbiorku pt. „Chwila", który właśnie ukazał się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

AUSTRIACKIE SPOTKANIA (I)

Rosi spełni wszystkie życzenia...

Marek Adam Jaworski

1.

TRUDNO wprost uwierzyć: na podwiedeńskim lotnisku hasają zające. Nawet nie usiłują uciekać przed samolotem toczącym się po betonowej płycie. Może tak je rozleniwił upał? A przecież, kiedy wychodzę już na zewnątrz, ze zdziwieniem stwierdzam, że jest tu nieco chłodniej niż w Warszawie!

Inż. Antoni Tyl z ambasady polskiej, którego bliżej poznałem przed 16 miesiącami w czasie Dni Lublina w Wiedniu, znalazł chwilę czasu, by mnie teraz przywitać. Przywitanie poza uściskiem dłoni i stereotypowymi „co słychać w Warszawie", lub „co słychać w Wiedniu" ma ścisły związek z... samochodem, którym drogi radca przyjechał, którym ze mną odjedzie i informacją o rezerwacji hotelu. A z miejscami noclegowymi bynajmniej nie jest teraz łatwo. I tu trwają dni kultury, poza tym rozpoczął się już sezon turystyczny. Maj to nie sezeń. *W czerwcu* — pociesza mnie Tyl — *będzie jeszcze gorzej pod tym względem. Wyobrażasz sobie, ilu dziennikarzy z całego świata przyjedzie, by informować o rozmowach Breżniewa z Carterem?*

Prasa już pisze na temat tego spotkania. W jednym z dzienników znajduję fotografię pokoju, w którym spać będzie prezydent USA. Inne zdjęcie pokazuje nawet... łóżko. Bulwarowe piśmidła mają wiadomości z pierwszej ręki!

Z lotniska do hotelu odległość nie taka znów mała — mniej więcej jak z Lublina do Nałęczowa. Hotel jest przytulny i stosunkowo niedrogi. Ale gdybym tu przebywał jako turysta, mając przydziałowe 150 dolarów, zbyt długo bym tu nie pospał...

Portier, oddając mi paszport, mówi z uśmiechem: *Jest pan o dzień starszy ode mnie.* Cieszyć się, czy smucić?

Zostaję sam, wyszukując w książce telefonicznej nazwiska osób, z którymi będę się chciał spotkać. Przy okazji odkrywam, że w Wiedniu dwadzieścia dwie osoby o nazwisku J a w o r s k i dysponują telefonami. Jest więc Jaworski Eduard (Edward to imię mego dziadka), jest Jaworski Maria (imię mojej babki) i jest Jaworski Therese (imię mojej żony). Z ciekawości szukam więc i Kowalskich, których w polskich książkach telefonicznych bywa zwykle najwięcej. W wiedeńskiej znajduję ich dziewiętnastu, a więc mniej niż Jaworskich. Za to zatrzęsienie Kóz — aż czterdziestu pięciu abonentów o tym nazwisku! Koza Albert, Koza Anna, Koza Franz, Koza Ida... itd., itd. A swoją drogą lektura książki telefonicznej, a właściwie k s i ą ż e k (trzy opasłe tomy!), to pasjonująca lektura! Co za mieszanina nazwisk. Wcale nie wydaje się, by germańskie przeważały. Widać dziś jeszcze, że dawna Austria była państwem wielonarodowym. Może kogoś z młodych naukowców natchnąłem do napisania na ten temat pracy doktorskiej? Temat to z pewnością dziewiczy!

2.

Mój hotel-pensjonat o nazwie „Monopol" mieści się przy Prinz Eugenstrasse, w odległości jakichś 150 metrów od dworca południowego, na który przyjeżdżają i z którego odjeżdżają pociągi warszawskie. Ów Südbanhof to swego rodzaju curiosum. Koło północy zjawia się ostatni pociąg. Następny będzie dopiero nad ranem. I co się dzieje? Uwierzycie? Dworzec po prostu na tych kilka godzin z a m y k a s i ę. Nie ma tu żadnego spania, żłopania piwska, chociaż, kiedy dworzec jest otwarty, w tutejszym kiosku można nawet kupić polską wódkę (0,7 l — 210 szylingów, ok. 14 dolarów). Ale, jak mi później starzy Polonusi powiedzieli, ta wódka rozlewana jest tu na miejscu, w Austrii, i oni wolą oryginalną. Ja też nie przepadam za zagranicznym winem, które butelkuje się w Polsce...

Wspominam o tym dworcu, po którym snuje się mniej osób niż, dajmy na to, na stacji w Sadurkach, bo nie dziwi mnie specjalnie polska mowa, która już dwukrotnie obiła mi się o uszy na Prinz Eugenstrasse. W zdumienie nie wprawia mnie również tabliczka na sklepie z napisem: *Tu się mówi po polsku.* Ale obok inny napis: *Tu się mówi po j u g o s ł o w i a ń s k u.* Szkoda, że nie po c z e c h o s ł o w a c k u!

Rano wyjechałem z Lublina, później pół dnia snułem się po skąpanej w słońcu Warszawie, zmęczenie daje się więc we znaki. Na spanie jednak za wcześnie.

Idę w kierunku Ringu — centrum Wiednia. Przy Operze jakiś młody człowiek podaje mi ulotkę. Zatrzymuję się i czytam. Ulotka zachęca do odwiedzenia „erotycznego teatru Casanova" z największym w Austrii strip-tease show. Wejście non stop. „Tanzbar" otwarty do szóstej rano.

Młody człowiek nie zyskuje dla swej firmy klienta. Ale w rozmowie okazuje się, że trafiłem na... rodaka. Od kilku miesięcy przebywa w Wiedniu. Wynajmuje z kolegą pokój za 1000 szylingów miesięcznie — daleko od centrum. 14,40 szylingów dziennie pochłaniają same przejazdy tramwajowe. Mój rozmówca otrzymał w ub. roku maturę, chciałby tu jeszcze trochę zostać i za rok zdawać w Polsce na studia inżynierskie. Oczywiście będzie to zależało od tego, czy uda mu się przedłużyć paszport. A praca jest nielegalna. Mówi mi o tym w zaufaniu, chociaż to i tak stanowi tajemnicę Poliszynela. *Wie pan, co bym zjadł? Prawdziwe polskie flaki!* — dodaje.

Młody człowiek nie tryska zdrowiem. Przeciwnie — jest bardzo zmizerowany. Sądzę, że tęskni nie tylko za flakami, ale za zwykłym, solidnym obiadem. Ale tu za solidny obiad trzeba zapłacić ze 100 szylingów!

Za chwilę zresztą wypijam w kawiarni piwo, za małą butelkę 0,33 l płacę z miną lorda 28 szylingów. I przypominam sobie rozmowę z pewnym marynarzem ze Szczecina, który kiedyś mi opowiadał: *Zamówiłem w Hamburgu piwko i już wiedziałem, że córeczce Basi nic nie przywiozę. Potem zamówiłem golonkę — prezencik dla Jureczka diabli wzięli. Golonka lubi pływać, więc strzeliłem setę i żoneczka pantofelków nie dostała...* Sądzę, że wcale nie żartował!

Kärtnerstrasse, Graben — zapełnione ludźmi. Grupka młodych chłopców i dziewcząt gra i śpiewa. Na chodniku leży kapelusz. Przechodnie, owszem, otaczają „artystów", słuchają, nawet biją brawo, ale rzadko kto rzuci coś do kapelusza. Zaglądam dyskretnie. Nie ma tu ani jednego banknotu. Przeważnie monety jednoszylingowe i kilka wyglądających na pięcioszylingówki. Austriacy nie należą do rozrzutnych. Kiedy wiedeńczyk sięga po papierosa, to tylko po to, by go samemu zapalić. Poczęstować rozmówcę papierosem? Kogo stać na taką rozrzutność?

Łażę, oglądam wystawy, porównuję ceny... W ciągu tych szesnastu miesięcy które dzielą mnie od poprzedniego pobytu, prawie wszystko tu podrożało. O, pamiętam że w tym sklepie widziałem czterokolorowy długopis, który kosztował 20 szylingów. Dziś za ten sam długopis trzeba tu zapłacić 40 szylingów. Półbuty. Nie powiem — piękne, ale wywieszka z ceną wprost... zwala z nóg. 3700 szylingów! W sklepie numizmatycznym nasza srebrna 200-złotówka. Można ją nabyć za 85 szylingów. A swoją drogą ciekawe, czy przemycił ją jakiś rodak.

Coraz bardziej oddalam się od hotelu, jestem już na Schottengasse. Spoglądam na plan miasta. Kawałek drogi. Zrezygnowany, zatrzymuję taksówkę. Złamanie licznika — 19 szylingów. Za kilka dni zapewne liczba ta będzie jeszcze wyższa, bo benzyna znów ma podrożeć. (Podrożała — do 7,90 szylinga za litr super). Taksówkarz młody mężczyzna nad wyraz sympatyczny. Jako Polak stanowię chyba dla niego pewną egzotykę. Najbardziej interesuje go zapowiedziana wizyta papieża w naszym kraju. *Jeszcze nigdy nie byłem* — stwierdza — *w państwie należącym do bloku wschodniego. Ale chyba teraz, po zniesieniu wiz, wybiorę się na Węgry. Nasze panie jeżdżą na Węgry by tam sobie zrobić trwałą ondulację. Lepiej się opłaca.*

W hotelu głośno. Przyjechała grupa starszych Niemców ze Stutgartu. Towarzystwo lekko sobie popiło i teraz czuje się tak, jak na własnej ziemi. Siwy pan ma na klapie marynarki jakąś miniaturkę orderu. Przyglądam się, chcąc dociec, co to takiego. Żelazny krzyż to raczej nie jest...

3.

Przerzucam przed zaśnięciem gazety. W Teatrze Ludowym grają „Operetkę" Gombrowicza. W „Burgtheater" — „Jak wam się podoba" Szekspira. W kinach filmy, których tytuły niewiele mi mówią. „Śmierć na Nilu". „Kobieta—apacz". „Superman", „Złodziej z Bagdadu", „To jest Ameryka". Ale jest i „Ostatnie tango w Paryżu".

Najbardziej interesują mnie ogłoszenia. Jakiś s e n i o r szuka na okres urlopu wesołej przyjaciółki. Pod Wiedniem można kupić domek z ogródkiem za 300 tysięcy szylingów, a w Wiedniu mieszkanie pięciopokojowe za milion. W „Kurierze" kilkadziesiąt ogłoszeń w rodzaju:

* *Dlaczego zawsze masz oglądać sam telewizję? Przyjdź do mnie...* — tu adres.
* *Rosi spełni wszystkie życzenia* — adres.
* *Pełnokrwista* — adres.
* *Słodka nauczycielka* — telefon.
* *Salzburg. Superdziewczyna* — adres.
* *Spełnię każde życzenie. Odwiedzam także w domu* — telefon.
* *17-letnia blondynka. Pełna sexu* — telefon.
* *19-letnia. Pełna dyskrecja. Od godziny 10 do 21* — telefon.
* *Tina. 110-70-100-15* — adres i telefon. (Rozmiary są, brak tylko zdjęcia).
* *On da ci to, czego nikt ci nie dał* — telefon.

Pełne równouprawnienie. I panie mogą sobie tego czy tamtego poszukać. Oczywiście nie za piękne oczy. Tu wszystko jest na sprzedaż. Legalnie. Choć podobno w Wiedniu nie ma legalnych domów publicznych. A właściwie po co?

A jaki horoskop przygotował „Kurier" dla skorpionów? Tydzień będę w Wiedniu, warto się zapoznać:

Najbliższe dni mogą ci przynieść sporo zadowolenia choć mogą to być dni bardzo nerwowe. Wszystko zależy od ciebie. Unikaj ryb i lwów. Zrobisz dobry interes z koziorożcem urodzonym w niedzielę.

Teraz to mi dopiero zadali robotę. Szukać kogoś spod znaku Koziorożca i to akurat takiego, który się urodził w niedzielę!

Dobranoc. Dość tego relaksu po wiedeńsku! Jutro trzeba się już będzie zabrać do konkretnej dziennikarskiej roboty...

(cdn.)

W pierwszą rocznicę śmierci
długoletniego sekretarza redakcji „Kameny"

Jerzego Dostatniego

łączymy się w żalu z Jego najbliższą Rodziną

Kolegium i zespół redakcyjny „Kameny"

SZPALTA O SPORCIE

SKONCZYŁY się rozgrywki piłkarskie ekstraklasy i drugiej ligi. Wprawdzie mistrza Polski znaliśmy już wcześniej, wcześniej też wiadomo było, że ekstraklasę opuści Gwardia, a jedną z drużyn grających w Pucharze UEFA będzie Widzew. W niedzielę, 11 czerwca, zapadły ostateczne decyzje. Drugą drużyną polską w rozgrywkach UEFA będzie mielecka Stal, która dzięki zwycięstwu w bezpośrednim spotkaniu z Szombierkami zapewniła sobie trzecie miejsce w ostatecznej tabeli ekstraklasy. Los Gwardii podzieliła szczecińska Pogoń, która przegrała z wicemistrzem Polski Widzewem i została wyprzedzona przez bytomską Polonię po jej zwycięstwie nad ŁKS-em.

Tak więc w rozgrywkach pucharowych obok Arki — zdobywcy Pucharu Polski i Ruchu — mistrza Polski będziemy oglądać Widzew i Stal. Życzymy im wszystkim powodzenia w losowaniu i rozgrywkach.

Jednego mistrza II ligi Górnika z Zabrza znaliśmy już od dawna. Jego II-ligowa karencja trwała tylko jeden rok. Natomiast los zrządził, że drugą drużynę awansującą do ekstraklasy poznaliśmy dopiero w ostatnią niedzielę (17 czerwca) w bezpośrednim spotkaniu kandydatów do tytułu mistrzowskiego: gdyńskiego Bałtyku i bydgoskiego Zawiszy, spotkaniu transmitowanym zresztą przez telewizję.

Niedziela ta miała też zdecydować, czy świdnicka Avia utrzyma się w drugiej lidze, czy też podzieli los Polonii, Błękitnych i Wisłoki i opuści tę klasę rozgrywek. Po przegranej tarnobrzeskiej Siarki z mistrzem grupy Górnikiem w rozegranym w środę, przed Avią błysnęła nadzieja. Zwycięstwo nad ostatnią w tabeli warszawską Polonią, ale na jej boisku, stworzyło Avii szansę wyprzedzenia Siarki.

Już kilka minut przed siódmą wieczorem z transmisji telewizyjnej dowiedzieliśmy się, że Zawisza po bardzo emocjonującym, lecz nienajlepszym meczu dzięki obronieniu wyniku bezbramkowego powrócił po roku, podobnie jak Górnik do ekstraklasy.

Godzinę później radio podało oczekiwaną przez lubelskich kibiców wiadomość, że Avia wykorzystała ostatnią szansę, wygrała 1:0 z Polonią i obroniła swój drugoligowy byt. Odetchnęliśmy z ulgą i... gratulujemy.

Największe jednak zainteresowanie wśród miłośników sportu w całym kraju wywołał w ostatnich dniach tygodnia mecz tenisowy Polska—Włochy o Puchar Davisa. Nie jesteśmy w tej dyscyplinie sportu potęgą. Mamy w niej jednego zawodnika wysokiej światowej klasy, Wojciecha Fibaka, po którym długo nie ma nic i dopiero po dużej przerwie następuje krajowa czołówka. Najwięksi optymiści liczyli, że Fibak wygra obie swoje walki i wspólnie z Nowickim grę podwójną. Nie byli znów tak dalecy prawdy. Gra podwójna rozpaliła widownię na korcie i kibiców przy telewizorach. A szczególnie jej trzeci set. Przy stanie 1:1 w tym właśnie secie tenisiści musieli rozegrać 26 gemów nim przyszedł rezultat. Przy stanie 12:12 Włosi wygrali trzynastego gema, co nie udało się Polakom 14:12 i czwarty set (już krótki) przesądziły o zwycięstwie Włochów. W niedzielę nie tak, jak przypuszczali kibice, poszło Fibakowi z bardzo regularnie, choć nie tak efektownie jak Fibak czy Panatta grającym Barazzuttim. Po pięciosetowej walce, trwającej przeszło cztery godziny, Fibak musiał tym razem ulec regularności Barazzuttiego. Po tym spotkaniu mecz Polska—Włochy był już dla nas przegrany, a Panatta z Drzymalskim grali tylko gwoli formalności.

Tak więc cudu nie było, wygrali lepsi, Włosi, mający szerokie kadry tenisowe. Bez udziału innych polskich tenisistów w wielkich turniejach międzynarodowych nie możemy liczyć na zrodzenie się wielkich gwiazd polskiego tenisa. Może umasowienie białego sportu, które następuje za sprawą sukcesów Fibaka, otworzy Polakom drogę na korty świata; wtedy znajdą się pomocnicy i następcy, a może i konkurenci słynnego Woltka. Bez wielkich spotkań nie może być wielkiego tenisa!

tgw.

W naszym interesie

Tadeusz Jasiński

MINĄŁ już rok od chwili powołania przez Radę Państwa komitetów kontroli społecznej. W sporej części terenowych jednostek administracyjnych rady narodowe wprawdzie wybrały członków komitetów, wyznaczyły ich przewodniczących, ale rzecz potraktowały formalnie, dlatego wojewódzkie komitety kontroli społecznej w pięciu naszych województwach począwszy od nowego roku poczyniły starania, aby tej działalności dodać bodźca. Zgodnie bowiem ze zmianami w ustawie o radach narodowych z maja minionego roku „zadaniem komitetów kontroli społecznej jest pomoc radom narodowym w wypełnianiu ich funkcji kontrolnych, umacnianie roli i znaczenia kontroli społecznej na terenie działania właściwej rady narodowej, koordynowanie i inspirowanie działalności poszczególnych organów tej kontroli, doskonalenie wszystkich jej form, zwiększanie skuteczności kontroli, a zwłaszcza egzekwowanie zaleceń pokontrolnych oraz tworzenie warunków do działania i powoływania organów kontroli społecznej przez uprawnione organizacje". Są więc komitety niejako czynnikiem nadrzędnym nawet wobec rad nadzorczych organizacji spółdzielczych, kółek rolniczych oraz samorządów mieszkańców i innych. Przypada im działanie stałe, nie akcyjne.

Również i w województwie lubelskim komitety kontroli społecznej w mijającym półroczu wzmogły aktywność. Wojewódzki Komitet Kontroli Społecznej rozciągnął swoją uwagę na takie sprawy jak np. zimowe przechowywanie i konserwowanie maszyn rolniczych, ich gotowość do prac wiosennych, wypadki niegospodarności, marnotrawstwa, zła jakość budownictwa mieszkaniowego, nieuzasadnione windowanie cen przez spółdzielnie pracy i przedsiębiorstwa państwowe. Większość natomiast gminnych, miejsko-gminnych i miejskich komitetów kontroli zadowalała się wyznaczeniem dyżurów i czekaniem na interesantów. Jednakże i taka forma kończyła się najczęściej skierowaniem do odpowiednich czynników, bo przecież komitet kontroli społecznej nie ma zastępować instytucji, ani wewnętrznych komórek kontrolnych organizacji samorządowych, spółdzielczych i zakładowych.

Przedstawiciele Rady Osiedla Spółdzielni Mieszkaniowej „Czechów" w Lublinie od dłuższego czasu wnosili poważne zastrzeżenia co do jakości budynków oddawanych przez Lubelskie Przedsiębiorstwo Budowlane. Z ich więc udziałem Okręgowy Urząd Kontroli NIK zapoznał się ze stanem ukończonych w ub. r. bloków i okazało się, że 85,7 proc. spośród nich, czyli 30 budynków posiada poważne usterki. „Stwierdzono w szczególności występujące krzywizny wewnętrznych elementów prefabrykowanych ściennych i stropowych, niestaranne dopasowanie otworów okiennych i drzwiowych, krzywizny styku ścian zewnętrznych i wewnętrznych z posadzką, niestaranność zatarć krzywizny i zwichrowanie płaszczyzn tynku, wadliwe wykonanie lamperii olejnych, łatanie wykładzin podłogowych i niestaranne przyklejanie płytek PCV, nienależyte umocowywanie grzejników, niestaranne osadzenie puszek, gniazd wtykowych i wyłączników, a także kratek wentylacyjnych, wadliwe wykonanie obróbek blacharskich i pokryć dachowych, niestaranne zmontowanie urządzeń wodno-kanalizacyjnych, w wyniku czego występowały na złączach tych urządzeń liczne przecieki, nienależyte wykonanie robót wykończeniowych w klatkach schodowych i w piwnicach, w pralniach i suszarniach." Koniec ogromnego cytatu. Autorzy raportu dość elegancko nazywają wyniki partackiej roboty, stąd częste powtórzenia słowa „niestarannie". Naprawdę przydałby się tu słownik dosadny, bo on jedynie mógł rzecz nazwać „według zasług".

Wierzyć się nie chce, co znalazły gminne i miejsko-gminne komisje kontroli społecznej z udziałem przedstawicieli odpowiednich placówek wojewódzkich w bazach spółdzielni kółek rolniczych, spółdzielni produkcyjnych a nawet w gospodarstwach zespołu Szkół Rolniczych w Kijanach i Zasadniczej Szkole Ogrodniczej w Żyrzynie, podległych, o ironio, Wojewódzkiemu Ośrodkowi Postępu Rolniczego w Końskowoli. Długo trzeba by tu wymieniać zaniedbania w zimowej konserwacji i sposobach przechowywania nieraz bardzo drogiego (np. kombajn „Bizon" za ponad pół miliona złotych) sprzętu rolniczego. Powstały z tego grube teczki protokołów i zaleceń pokontrolnych, wniosków o ukaranie materialne i służbowe. W przypadkach obu placówek szkolnych przewodniczący WKKS w wniosku o ukaranie w drodze dyscyplinarnej dyrektorów napisał: „Biorąc powyższy, społecznie i wychowawczo niewłaściwy stan rzeczy, przy występowaniu którego wpajane są w uczniów tych szkół negatywne nawyki..." Te negatywne nawyki muszą się także utrwalać w młodych robotnikach budowlanych, gdy tak mało mają przykładów pozytywnych wokół siebie. We wspomnianych bazach fałszowano meldunki o stanie remontów maszyn, zawyżano ich gotowość do wiosennych robót i gdyby zima tak bardzo się nie przedłużyła, skutki ukrywanej opieszałości byłyby wcześniej widoczne.

Komitety kontroli społecznej zostały wyposażone w ważny atrybut: mają prawo udzielać osobom odpowiedzialnym za zbadane niewłaściwości ostrzeżenia będącego wyrazem społecznego potępienia, mogą występować do właściwego organu zwierzchniego o ukaranie w drodze dyscyplinarnej lub służbowej, zawieszenie w czynnościach, zwolnienie ze stanowiska, rozwiązanie umowy o pracę itp., mogą podawać do publicznej wiadomości zbadane fakty, zainteresować nimi załogę, samorząd mieszkańców, mają też prawo przekazywać sprawę powołanym do tego instytucjom. Od ich decyzji można się jedynie odwoływać do prezydium właściwej rady narodowej, która komitet i jej rzecznika powołała.

Znajduję to w uchwale Rady Państwa, ale równocześnie wtajemnicza mnie w praktykę codzienną tego nowego w naszym życiu czynnika dyrektor biura WRN i członek Wojewódzkiego Komitetu Kontroli Społecznej w Lublinie, Jerzy Kępa. Jego zdaniem decyzje rzecznika, wydawane w wyniku kontroli społecznej, zmusiły już wielu przez te kilka miesięcy do działania zgodnie z logiką, zdrowym rozsądkiem i prawami ekonomicznymi. Np. po ostrzeżeniu dyrektor Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego podjął sporo takich przedsięwzięć, aby jakość oddawanych mieszkań wyraźnie się poprawiła. Równocześnie owe „niestaranności" na Czechowie i w innych dzielnicach miasta zostaną usunięte do końca roku. W bazach kółek i spółdzielniach rolniczych kilku dyrektorów i ich zastępców otrzymało w drodze służbowej nagany, upomnienia i ostrzeżenia, a niektórych pozbawiono w połowie premii za pierwszy kwartał obecnego roku. Przede wszystkim jednak spowodowano natychmiastowe zlikwidowanie zaniedbań w przechowywaniu i remoncie maszyn. Zdaniem mojego rozmówcy interwencje komitetów kontroli mają również znaczenie pośrednie. Echo decyzji rozchodzi się w danej branży szeroko. Fakt zwolnienia dyscyplinarnego wicedyrektora dał wiele do myślenia pozostałym. Ważny tu jest także autorytet przewodniczącego jako rzecznika. W Lublinie jest nim ekonomista, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a zarazem wiceprzewodniczący WRN, Tadeusz Mizera. Podobnie sprawa ma się w miastach województwa i gminach. Tamtejsze rady narodowe także powoływały do komitetów kontroli społecznej ludzi szanowanych i posiadających egzekutywę wynikającą nie tylko z prawa, ale i z zalet charakteru.

Tadeusz Mizera podkreśla, że podjęte kontrole kompleksowe, o których była tu mowa, nie mogą przesłonić codziennej działalności terenowych komitetów kontroli społecznej, a one same nie mają zastępować wewnątrzzakładowych i wewnątrzresortowych systemów kontrolnych. Mogą i muszą jednak wpływać na podniesienie jakości ich pracy. Rady nadzorcze organizacji gospodarczych zbyt formalistycznie traktują swoje zadania, z reguły wznawiają działanie przed walnymi zebraniami, tymczasem statuty obligują je do spełniania ich funkcji w czasie trwania całej kadencji. Reagowanie na negatywne zjawiska jest problemem całego społeczeństwa, im więcej ludzi będzie współuczestniczyło w wykrywaniu nieprawidłowości, tym mniej będzie możliwości ich popełniania. Klimat jest odpowiedni, trzeba go wykorzystać. Przewodniczący przypomina, że na jednym z plenarnych posiedzeń Komitetu Wojewódzkiego PZPR zwrócono uwagę na potrzebę uważniejszej kontroli cen. Współbrzmiało to także z meldunkami społecznej kontroli robotniczej powołanej przez Wojewódzką Radę Związków Zawodowych. Zwracano nadto uwagę na zanikanie niektórych towarów ze znakami jakości. Stwierdzono pojawienie się sporej grupy wyrobów galanteryjnych, elektrotechnicznych, dziewiarskich, tekstylnych, których ceny w nieuzasadniony sposób zostały podwyższone o 35, 72, a w jednym wypadku nawet o 153 procent, mimo że powstały z tych samych co poprzednio materiałów i w oparciu o te same wzory. Zjednoczenia nadzorujące pracę przedsiębiorstw, które w ten sposób pragną uzyskać nieuczciwe zyski kosztem konsumenta, są przez Wojewódzki Komitet Kontroli Społecznej alarmowane, a społeczna kontrola robotnicza i członkowie komitetów kontroli wciąż czuwają i zgłaszają pojawianie się nieuzasadnionych cen. Temu zjawisku WKKS pragnie przeciwstawiać się konsekwentnie.

Rok istnienia to jeszcze niewiele, ale jest już po „rozruchu". Wkrótce powinniśmy odczuć pełny „produkcyjny" skutek powołanych przez Radę Państwa organów kontroli społecznej.

WSPOMNIENIE O HELENIE PLATCIE

Odeszła, jest...

TO WSPOMNIENIE chcę wcielić od konwencji okolicznościowej przesady, choćby usprawiedliwionej, skoro piszę o kimś nieżyjącym, dlatego postanawiam trzymać się faktów i tylko faktów przeze mnie samego doświadczonych.

Kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z Heleną Platta? W roku 1946, w Klubie Literackim, organizacji jakże udatnie i z jakimże niepowtórzonym skutkiem prowadzonej przez Juliusza Kleinera. Nie powiem, że było to poznanie się na całym froncie, jakie zwykle zdarza się ludziom o podobnych zainteresowaniach, którzy nieoczekiwanie zyskali okazję wychylenia ku sobie. Różnica lat, różnica środowisk. Tym bardziej, że miałem wówczas wiele osób, z którymi już łączyły mnie bliskie i dość bliskie związki, więc miejsce było zajęte. I Platta na dobrą sprawę zawsze zajmowała drugi plan mojej uwagi. Jakie to dla Niej charakterystyczne, że nigdy nie narzucała własnej osobowości! Jaka dla mnie odpowiednia pozycja do tym obiektywniejszego spojrzenia!

Więc czas swego Klubu był Jej czasem najodpowiedniejszym. Ten jeszcze na dobrą sprawę nieskończony fin de siècle, szczególnie w literaturze, w której nie doszły jeszcze do głosu nowe tendencje, w której działały jeszcze siły, niech będzie, ze bezwładu. Tylko ten bezwład legitymował się nazwiskami takimi jak wspomniany Kleiner, jak Parandowski, Białkowski, Morelowski, a skutkował nasileniem imprez, że nie rzadko dwie odbywały się w ciągu tygodnia. Platta nie zabiegała o funkcje organizacyjne, o wyjście na pozycję widoczną, ale czuło się, że tu właśnie jest jej miejsce. Przez to, że „naturnym" fin de siècle'owym nawykiem życzliwy kontakt osobisty ludzi piszących uznawała za jeden ze skutecznych bodźców ich twórczości. Przyznam się, że sam zanadto tego przekonania nie podzielałem widząc jak wiele czasem mielonej sieczki zyple się w lokucjach takiego arona, ale pani Helena nie omieszkała każdą nową pisarską indywidualność poznać od strony nie tylko drukowanej litery, ale również zamierzeń na przyszłość, a nawet gustów w zakresie używek. Kawa, herbata i ciastka wchodziły na wokandę rozmów literackich organizowanych przez Nią w Jej mieszkaniu przy ulicy Olejnej. Kiedy zostałem tam zaproszony po raz pierwszy, miejsce zainteresowania zajęło we mnie skrępowanie: czyżby to miała być moja nobilitacja literacka? Jeśli tak, to — psiakość — coś się za mało napisało, więc dysproporcja jest diabło widoczna. A w ogóle co to za moda na „literacki salon" w piątym dziesiątku lat dwudziestego wieku jak ze najlepszych czasów bohemy! Ale Pani Helena zawsze lubiła perfumy ancien regime'u, coś z myszką. To było widoczne również w Jej poetyce. Nie znaczy to, że nie doceniała nowości formalnych. Chociaż... Zawsze tak się mówi, ale na dobrą sprawę pisarz uformowany w stylistyce pewnej epoki rzeczywiście i programowo nie docenia specyfików epoki następnej. Czyli znowu punkt po Jej stronie.

Wielkie nieba! Przed śmiercią nie było Jej w Lublinie od piętnastu lat, a wciąż myślało się o Niej jako o lubelskiej. Jak ona się w tej Warszawie czuje? — kiedykolwiek w rozmowie padło Jej nazwisko, zadawałem sobie takie pytanie. Ale jak wreszcie tę lubelskość określić? Ilością przemieszkanego tu czasu? Wydanych o Lublinie książek? Co za nachalnie mechaniczna kwalifikacja. Widocznie nie ma się nic więcej do powiedzenia, jeśli stosuje się taką statystykę. Platta „pod względem lubelskości" to był ktoś z dynastii Araszkiewiczów, Bietskich, Gralewskich, ktoś, kto w Warszawie powinien nie umieć nawet zmoknąć, bo przecież w Warszawie nie pada lubelski deszcz.

Kiedy ją widziałem następnie? Nigdy, zawsze ją tylko widywałem. Bo Platta mimo zasadniczego lunctim swego nazwiska ze wszystkim, co literacko-lubelskie, jak gdyby zbyt nachalnie w Lublinie się nie pokazywała. Dziwna to obecność — polegająca tylko na bywaniu. Że Platta była na jakimś zebraniu, dowiadywałem się po zebraniu, nawet kiedy sam w nim uczestniczyłem. Do głosu? Na mównicę? W kręgu moich doświadczeń — ani razu. Dopiero po zebraniu jakoś tak cicho i „ewentualnie" do kogoś, jak i ona powracającego, czynione uwagi. I zbiegiem okoliczności tym takim kimś chyba najczęściej bywałem ja. Dopiero wtedy nie omieszkała skomentować, uzupełnić, skrytykować. Tak, to przyciszenie wcale nie było zgodą na każde postawienie sprawy, brakiem ostrego spojrzenia na tkwiące w środowisku... Ale zastrzegłem, że unikne okolicznościowej nutki pochwalnej, mimo że konwencja pośmiertnego wspomnienia to nakazuje. Chcę być przy prawdzie, nie przy żałobie.

Więc tak. Owże epizod warszawski uważałem za przejściowy. Nie mogłem przyjąć, że kogo jak kogo, ale Heleny Platta zabraknie w Lublinie na stałe. Przecież w Warszawie nie ma ciszy ulicy Olejnej, tam poezja realizuje się z hukiem maszyn drukarskich, gdzie ją porównać z lirycznym pachnącym groszkiem może trochę prowincjonalnym, ale jakże swojskim i szczerym. I ta „gorąca linia" między Jej lubelskimi przyjaciółmi a Nią już nie będącą w Lublinie działała zawsze. Nawet kiedy nie dochodziło do personalnych styczności, kiedykolwiek literacka inicjatywa dotyczyła sprawy lubelskiej, nazwisko Platta nawet nie wymówione, nawet nie wspomniane czuło się jako obecne.

Jej poezja? Tak, trochę staroświecka. Nawet możemy sobie oszczędzić to „trochę". Cóż to za miara zjawiska artystycznego! kalendarz. Jeśli się komuś powie, że pisze jak Shelley, będzie to obraza? Więc poetyka Platty mogła się przecież przeżyć w czasie, jak przeżyło się wiele poetyk innych, ale wrażliwe ucho czytelnicze nie mogło nie usłyszeć tam dźwięku, jaki wydaje serdecznie nastrojony instrument. Pamiętam te jej wersy rozrzucone po stronie, prawie każdy zaczynający się z lunego marginesu. A jednak w tym rzeczywistym nieporządku graficznym tkwił jakiś porządek poetycki, co przyznawali nawet ludzie nie związani czynnie z profesją literacką.

Śmierć. Tak, jedyny fakt wiążący się ze słowem „nigdy". Ale powiedziałem, że unikam konwencji funebralnej. Więc nie powiem, że nigdy Heleny Platta nie ujrzymy w..., że ani jeden Jej wiersz już nie..., że na zawsze zamilkł ten cichy głos, podobny do szeptu. Bo jeśli zostawiło się ludziom taką o sobie pamięć, to się chyba jakoś, w jakimś sensie żyje.

Zygmunt Mikulski

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Poezoza

Zygmunt Mikulski

TAK często tę uwagę przytaczam, że w końcu zostanę posądzony o obsesję. Zresztą na zdrowie. Otóż nie ma ani łacińskiego ani greckiego odpowiednika wyrazu „poezja" na określenie dziedziny twórczości literackiej. Rzymianie go w swym leksykonie w ogóle nie mieli, a grecka „poiesis" bynajmniej nie znaczy „poezja", lecz „robota". Przykrość filologiczna? Ale jaki zysk interpretacyjny! Bo to mówi, że poezja liczy się przede wszystkim jako czyn, jako kawał tego zadania, którego skuteczne podjęcie zmienia czyjąś psychiczną rzeczywistość, jak np. sytuację głodnego zmienia czyn piekarza. Ubocznym produktem tego wywodu etymologicznego jest wniosek, że na swoje miano zasługuje tylko ten czyn, w którym jest pierwiastek twórczy.

Po co to mówię? Bo chcę powrócić do perswerowanej przeze mnie kwestii — nowatorstwo a tradycjonalizm. Poruszam ją i poruszam, a skutek jest tylko taki, że zasłużyłem na miano upartego sklerotyka, który nie rozumie nowych tendencji. Zasłużyłem? W porządku. Bo to znaczy, że już nie mam nic do stracenia, czyli tym większa witaj swobodo. Naprzód, Rosynancie!

O poezji tradycyjnej mówi się „strofkarstwo", „kataryniarstwo", „rymarzenie". Mówi się tak w przekonaniu, że wczoraj czynny twórczo siusiumajtek, który operuje „oryginalnym skrótem", bo na normalny język wypowiedzi brak mu oddechu, daleko w tyle zostawił Staffa, Tetmajera, Micińskiego. Gdzie im — starym (i nie czytanym) marabutom — do śmiałego rzutu wyobraźni naszego milusińskiego. Proszę zauważyć, jak zdewaluował się termin „komunikatywność". Zarzut, że coś jest niekomunikatywne? Cóż to za zarzut! A właściwie zarzut, ale przeciw temu, kto go wysuwa. „Nie rozumiem"? Tego żaden krytyk nie napisze. Bo „zrozumie" inny, który tylko czeka, żeby się jego konkurent wykopyrtnął. I wysiadka ze współpracy z redakcją. A wsiadka tego, który „zrozumiał". Oczywiście nie całkiem tak drastycznie przedstawia się sytuacja, przerysowałem ją, ale zdecydowana presja niezrozumialstwa we współczesnej poezji istnieje. Bo przecież poezja jest sprawą dla wtajemniczonych. To „wtajemniczenie" osiągało się kiedyś mottami. Wybierało się motto z jakiegoś dziesiątorzędnego pisarza filozoficznego, który wątpliwe, czy na to miano w ogóle zasługuje, i już autor sprawiał wrażenie, że Leibniza, Humé'a, Kanta ma w małym palcu, skoro poprzez nich sięga tak głęboko do skarbca ludzkiego ducha. A myśmy — profany — o istnieniu takiego mistrza nawet nie wiedzieli. Dziś wrażenie wtajemniczenia osiąga się niezrozumiałością. Nikt mnie nie zrozumiał? Oto dowód, że jestem poetą.

Ale: dlaczego opowiadam się za poezją regularną, foremną, stroficzną? Bo jest trudniejsza. Tak, gołąbki, trudniejsza. Stawia większe wymagania. W porównaniu z nimi dzisiaj napisany „wiersz" może uchodzić co najwyżej za brulion wiersza, za tymczasowy zapis ciekawych refleksji, którym w przyszłości należałoby się przyjrzeć, by je ewentualnie pisarsko zdyskontować. Wobec tych wymagań musi stanąć nagość poezji, jak w innych okolicznościach staje nagość prawdy. „Będę mówił poezję, tylko poezję i całą poezję" — taką przysięgę składa poeta. Natomiast poeta współczesny uprawia poetycką sofisterię. Nieudolną sofisterię, ale sofisterię. Partacką magię. Mydlarskooczną nachalność. Grymasy, wygibasy, szpasy. Pytam: co, gołąbki, jest cenniejsze — snycersko ufryzowana, ale tombakowa blaszka, czy nieforemna bryła, ale złota? Oczywiście, że nie mogąc zdobyć się na ten kruszec, współczesny poeta „w ciekawy sposób" wygina swoją blaszkę. Tak powstaje rzecz poezjopodobna, atrapa poezji, jej namiastka, co powinno być karane, kiedy taki towar wprowadza się na rynek.

Opozycję tradycjonalizm — współczesność przedstawia się jak niezgodność między nieszkodliwą i też niczego właściwie nie wyrażającą naiwnością a osiągnięciem sprawności formalnej, jeśli ponoszącym jakąś winę, to tylko winę nadmiernego wyjścia na czoło. Nadmiar sprawności — ten „zarzut" zapisuje się po stronie aktywów współczesnej poezji. Tymczasem sprawa polega na rozkojarzeniu słów posuniętym tak daleko, że już żadnego sensu nie da się chwycić i pozostaje tylko sekundować zachwyconemu sobą autorowi, który karmiąc swe narcystyczne skłonności chętnie przeprowadza publiczne egzegezy swoich metafor. Oczywiście wkładając w nie to, czego w nich nie ma.

A dlaczego tak jest? Bo nie mając nic do powiedzenia pisać wiersz regularny to skompromitować się od razu i doszczętnie. Więc jeśli istnieje jakieś wymaganie i nie może mu się sprostać, to co należy uczynić? Wymaganie usunąć. Dlatego mówi się o antyrygoryzmie współczesnej poezji, która pozbyła się „wczorajszych ograniczeń". To znaczy pozbyła się siebie. Bo tylko w ograniczeniu jest wolność. W anarchii jej nigdy nie było. W dodatku co za humorystyczne zjawisko! Oswobodzono języki, każdy może mówić od siebie nie krępując się ani tradycją, ani aktualnymi rygorami — i co? I wszyscy mówią to samo. O ileż większe było zróżnicowanie poetyk, kiedy obowiązywał „rygor"!

Powiedziałem, że współczesny wiersz to co najwyżej notatka, którą do formy poetyckiej dopiero należy doprowadzić. Rozumiejmy to we właściwy sposób. Nie w ten, że oto jest materiał złożony z pewnej ilości słów, którym niech będzie dodany rym i rytm. Wysiłek, napięcie kształtowania w czynności poetyckiej, jak w każdej pracy (poiesis) odgrywa dużą rolę, ale „rymów" się nie „dorabia". Wiersz albo rodzi się od razu w swoim skończonym kształcie, albo nie rodzi się wcale. Oczywiście istnieje możliwość kilkakrotnych narodzin, tj. paru redakcji jednego wiersza (np. „Wielkanoc Jana Sebastiana Bacha", „Księżyc" Gałczyńskiego), ale nigdy nie jest to chłodne cyzelowanie strofy. Więc owe „notatki" mogą się przedłużyć w wiersze w ten sposób, że wywołają w pamięci — jak gdyby na zasadzie ejdetyzmu — ten sam impuls, który je spowodował, żądając dalszego ciągu czynności poetyckiego zapisywania. Ale... itd., czyli patrz wyżej.

Oprócz postaci wyrafinowanej formalnie (czytaj: bełkotliwej) współczesnej poezji istnieje jej postać zupełnie niewyrafinowana, a nawet zadziwiająco uboga. Tak uboga, że aż niema Nijaka, zerowa, żadna. Na dobrą sprawę nie wiadomo, czy przy niej o poezji jeszcze można mówić. Niech w końcu padnie cytat:

„Na tej plaży, pod niebem nawisłym,
Na tym ładzie od żywiołów zawisłym.

Naprawdę kraśnicki...

Dokończenie ze str. 1

Później Festiwal prezentował pieśni o walce i pracy, aby w 1977 roku przybrać obecną postać, którą warto by chyba utrzymać, ponieważ będąc ideową kontynuacją wcześniejszych imprez, otwiera niepomiernie szersze pole inwencji artystycznej. Naturalnie, pewne kwestie wymagają korekty.

W XI Festiwalu Pieśni o Ojczyźnie występowały zespoły znakomite: chóry Akademii Medycznej w Białymstoku, Politechniki Szczecińskiej i Poznańskiej (poza konkursem), Uniwersytetu Łódzkiego; pierwszy z nich otrzymał Grand Prix. W innych kategoriach — zespołów wokalnych, wokalno-instrumentalnych, solistów — także pojawiły się niekłamane wartości, jak chociażby wyróżniony „Paradoks" z Kraśnika, złożony z bardzo młodych wykonawców, kierowanych przez Jerzego Bidiuka, nauczyciela Zespołu Szkół Zawodowych. Grupa ta posiada już spore sukcesy, poświadczane nagrodami na ogólnopolskich imprezach amatorskich w Kielcach, Warszawie, Świdniku, Lublinie, Wrocławiu, Toruniu, a jego perkusista w pełni zasłużył na premię w postaci ... roweru męskiego, ufundowanego przez Kraśnicki Ośrodek Kultury.

Publiczność amfiteatru zetknęła się jednak również z wykonawcami, którzy powinni jeszcze długo ćwiczyć i namiętnie — nim odważą się na wejście na estradę. Takie „popisy", aczkolwiek nieliczne, deprecjonują imprezę. A doszło do nich dlatego, ponieważ nie wszystkie wojewódzkie domy kultury w kraju, zainteresowane Festiwalem, we właściwy sposób przeprowadziły eliminacje chętnych do występów w Kraśniku. Podobno ciężka zima zdezorganizowała ich pracę...

Inna kwestia do rozwiązania to konkurs kompozytorski na piosenkę festiwalową. W minionym roku miał on charakter otwarty i w rezultacie napłynęło nań aż 111 utworów, oczywiście, różnej jakości, także dobrej. Pierwszą nagrodę otrzymali lublinianie: Witold Miszczak (muzyka) i Marek Chołdzyński (tekst) za piosenkę pt. „Z Tobą". Natomiast w tym roku ogłoszono konkurs zamknięty, do którego zaproszono wyłącznie „kręgi fachowców" — jak to napisano w festiwalowym informatorze — Związku Autorów i Kompozytorów Rozrywkowych. Stanąwszy w szranki w liczbie 18 osób, wydali oni 31 utworów, z których żaden nie zasłużył, zdaniem jury, na pierwszą nagrodę. Drugą otrzymali: znakomita poetka Wisława Szymborska i Zbigniew Ciechan (muzyka).

„Zamykanie" konkursu kompozytorskiego towarzyszącego imprezie o wiadomym profilu, eksponującej polskie uniwersalia, jest pierwszym poważnym nieporozumieniem. Tym większym, że rzecz wiąże się z festiwalem amatorskim, który w tym roku świadomie zrezygnował z zaproszenia do Kraśnika profesjonałów naszej estrady, zadowalając się jedynie recitalem Paulosa Raptisa, choć początkowo zamierzano sprowadzić kilka gwiazd oraz meteorytów.

Istotniejsze jednak, że piosenki konkursowe są rzadko wykonywane w Kraśniku. Jest to tak oczywiste nieporozumienie, że nie wymaga dalszych komentarzy, wymaga natomiast sformułowania jakiejś wiążącej uczestników klauzuli regulaminowej.

Wśród spraw pośledniejszych (choć diablo kosztownych) zwracała w tym roku w Kraśniku także ta, którą zwie się scenografią. Zwie się, bo pan Artur Turalski zaprojektował Festiwalowi coś w rodzaju dekoracji świetlicowej, uzupełnianej, na dodatek, element po elemencie przez cały niemal okres trwania imprezy — przy pomocy sił „najemnych", lecz często od nieobecność autora, który w wywiadzie dla wspomnianego Biuletynu WDK wyznał, że jest szczęściarzem i w ogóle się nie denerwuje.

Sam Biuletyn także może świadczyć o totalnym samozadowoleniu zespołu, który go redagował i ozdabiał samorodną grafiką. Owszem, było w tym wydawnictwie kilka rzeczowych materiałów informacyjnych i sporo dobrych chęci do ożywienia zawartości publikacji. Ale czy może to stanowić okoliczność łagodzącą wtrynienia między strony dowcipasów (anegdot?), od których, owszem, boki się zrywają: w knajpie 24 kategorii. Miejmy nadzieję, że specyficzne poczucie humoru zespołu redakcyjnego nie było głównym momentem, wabiącym do Biuletynu publiczność amfiteatru.

Pewne nieporozumienia obyczajowe towarzyszyły ponadto wernisażowi prac powstałych na VIII Ogólnopolskim Plenerze Malarskim, imprezie związanej z Festiwalem, które to spotkanie artystyczne właściwie nie doszło do skutku w zapowiedzianym miejscu i terminie, a dobra nań przygotowane uświetniły pokaz czegoś i kogoś innego. Odnotujmy, że w samym plenerze wzięło udział 9 plastyków, z czego czterech powinno uprawiać malarstwo na własny rachunek. Mimo dobrej woli i wysiłków organizatorów nie udało się ściągnąć do Kraśnika większej liczby artystów wybitnych. Może wiedzą już, że miasto nie bardzo wie, co robić z obrazami, które w liczbie około 100 podarowali uczestnicy siedmiu dotychczasowych plenerów?! Niezłą galerię mógłby mieć — po selekcji — z tego majątku Kraśnik, gdyby ludzie odpowiedzialni darzyli sztukę takim samym zrozumieniem, jakie od dłuższego czasu manifestują: WZGS — Zakład Gospodarczy i Ośrodek Transportu Leśnego, przedsiębiorstwa kupujące regularnie płótna poplenerowe, a istniejące w tymże mieście.

Różne sprawki i odmienne problemy powołuje do życia Festiwal i fakt ten także przemawia za imprezą, która zmusza ludzi w Kraśniku do formułowania własnych ocen, wydawania nowych decyzji, samookreślenia się w nieznanych dotąd sytuacjach o rozmiarach przekraczających nierzadko ramy codziennego bytowania tamtejszej społeczności.

„Festiwal zadomowił się w Kraśniku na dobre, ludzie czekają z niecierpliwością na imprezę, która wpływa na nas wszystkich mobilizująco, bardzo dużo zawdzięczając kilkunastu zakładom pracy, mocno zaangażowanym w jej przygotowanie" — twierdzi Zygmunt Kusiak, zastępca naczelnika miasta.

Nie widzę powodu, aby podważać tę opinię.

Ireneusz J. Kamiński

Fot. Mirosław Trembecki

Nad tym morzem, morzem oszalałym
Na dziewiąta falę czekamy,
I w piach grząski i poszarzały
Zapadamy się, zapadamy."

Co mam tu czytelnicze „chwycić"? Że lad jest zawisły od żywiołów? Że „zawisły" bardzo oryginalnie rymuje się z „nawisły"? Że nadmorski piach nie ma twardości skały? Dziwić może jedno: że taki tekst mógł się ukazać po pierwsze — w czołowym tygodniku literackim („Literatura", 31.V.1979), po drugie — w warunkach, kiedy napór tekstów poetyckich na redakcje każdego pisma literackiego jest równy atakowi bezrobotnych na magistrat miasta w okresie sanacji. Ciekaw też jestem ile tekstów znacznie ciekawszych (co nie jest trudnej odpadło, by dać miejsce rewelacji w zapadaniu w nadmorski piach.

Proza, proza. Ale nie tylko w przytoczonym wypadku. Z ducha prozy wywodzi się cała współczesna metaforyka. Cała współczesna poezja to rektyfikat prozy. Czego się zresztą nie ukrywa. Co się często przytacza jako zaletę. A cóż innego zostaje? Kiedy się nie może podołać wymaganiom, usuwa się wymagania. Kiedy się nie można zdobyć na konstatacje czysto poetyckie, samą poetyckość stawia się do kąta. Znajduje się jakość nad-poezję. Rzetelną, bogatą, tyle że regularną strofę zestawić z wierszykiem dla dzieci i już odnosi się triumf nad „łatwym potraktowaniem lirycznego materiału".

Przy tym wszystkim — paradne — właśnie warsztatową większą sprawność przyznaje się współczesnej poezji. Na tyle większą, że może odbijać się to ujemnie na jej zawartości emocjonalnej, co jest zresztą najzupełniej usprawiedliwione, skoro właśnie o treści intelektualne więcej tu chodzi, natomiast poezja tradycyjna więcej znajduje uwagi dla „serca" przez to, że jest bardziej rudymentarna formalnie, a naiwna treściowo. Przybądź, Protagorasie.

Od czasu do czasu pojawiają się narzekania na brak krytyki literackiej. Narzekałem i ja. Teraz przestaję. Jeśli krytyka literacka miałaby się stać jeszcze jednym narzędziem zafałszowania rzeczywistości literackiej — lepiej, że jej nie ma.

Henryk Makarski

SŁONE OWOCE

od ilu lat już czekam
przy tym samym stole
zarośniętym zielenią myśli
nieposianych
zgrzyta język — zardzewiał
zanurzony w wodzie
przed którą słowa zginam
jak kolana
radośnie

od wielu lat już czekam
przy tym samym stole
pielęgnując owoce
narodzone z soli

OSTATNI W TYM DNIU ANONIM

posiwiało mi serce
wieczorem
gdy
przeczytałem ostatni
w tym dniu
anonim

litery wycięte
z moich wierszy

zamknąłem szczelnie
drzwi, okna, łzy, rozpacz,
uśmiechy

całe szczęście
że nikt tego
nie widział

LUBLIN PRZED I PO WYZWOLENIU 8.

Na drodze do stabilizacji

Ireneusz Caban

NASTROJE panujące w Lublinie i kształtująca się w nim sytuacja polityczna szczególnie interesowały PKWN. Początkowe oddalenie od Lublina nie sprzyjało śledzeniu wydarzeń w mieście, które miało już wkrótce stać się czasową siedzibą najwyższych władz państwowych. Co prawda na posiedzeniu PKWN w dniu 27 lipca odbytym w Równem, lub już w Chełmie (PKWN właśnie w tym dniu przyjechał do tego miasta), kierownik resortu bezpieczeństwa publicznego, Stanisław Radkiewicz, przedstawił informację o sytuacji w Lublinie, ale nie odzwierciedlała ona w pełni złożoności życia politycznego miasta w pierwszych dniach po wyzwoleniu.

Rację więc ma K. Kersten, która w monografii o PKWN pisze, że „początkowo nie orientowano się jeszcze dokładnie w sytuacji jaka istniała w Lublinie, i nie wiedziano, że ekspozytury londyńskie próbują przechwycić władzę, stawiając w swoim przekonaniu PKWN w obliczu faktów dokonanych".

Z chwilą przeniesienia się do Chełma informacje z Lublina napływały jednak z godziny na godzinę i były coraz bardziej konkretne i dokładne. Nie potwierdzały one pierwszych chełmskich doświadczeń PKWN, gdzie bez większych trudności udało się skłonić do rozwiązania delegacką radę miejską. Dowiadywano się natomiast o istnieniu w Lublinie „dwuwładzy", o „silnym stanie posiadania AK", o napięciu w mieście. Wydaje się, że właśnie to, wbrew poprzednim przewidywaniom, było powodem pozostania w Chełmie dłużej, do czasu wyjaśnienia sytuacji w Lublinie.

Nagliło to do szybkiego i zdecydowanego działania. Już na drugi dzień pobytu w Chełmie przewodniczący PKWN skierował „do przeprowadzenia prac w Lublinie" Stanisława Radkiewicza. 28 lipca wydał on pierwsze w Lublinie zarządzenie — odezwę Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego — podkreślające, że „jedynym przedstawicielem władzy narodu jest PKWN i jemu też należy podporządkować wszystkie formacje zbrojne". Zarządzenie wzywało jednocześnie członków organizacji konspiracyjnych do wstępowania do Wojska Polskiego i ostro krytykowało mobilizację przeprowadzaną przez AK w różnych rejonach ziem wyzwolonych, uznając ją za nielegalną.

W dzień później do Lublina wylecieli samolotem członkowie PKWN: ludowiec Stanisław Kotek-Agroszewski i działacz socjalistyczny Bolesław Drobner oraz członek PPR Hilary Minc. Przybyli oni tutaj w charakterze pełnomocników PKWN do zorganizowania władzy, co zresztą potwierdzały wydane 29 lipca delegacje stwierdzające, że zostali oni skierowani „do m. Lublina dla objęcia władzy". Rzeczywistość lubelska nie wymagała już „obejmowania władzy", niemniej jednak pełnomocnicy PKWN odegrali ważną rolę w rozwikłaniu trudnych spraw politycznych w mieście. Wraz z nimi przybył również do Lublina Kazimierz Sidor — przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej (do Chełma przybył on wraz z PKWN), któremu jeszcze w tym samy dniu J. Manugiewicz (Szymon Żołna) formalnie przekazał kierownictwo Radą, zachowując nadal stanowisko pełnomocnika KRN na województwo lubelskie.

Już nazajutrz pod przewodnictwem K. Sidora i z udziałem trzech przedstawicieli PKWN oraz dwóch członków KRN odbyło się pierwsze konstytucyjne posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej, w toku którego dokooptowano nowych członków, przydzielono im zadania, a także obsadzono, wzorując się na PKWN, wyłonione wówczas „resorty" rady. Kierownikami poszczególnych resortów zostali: administracji ogólnej — S. Szczepański, bezpieczeństwa — G. Korczyński, mobilizacji — E. Ochab, przemysłu i handlu — P. Dąbek, pracy i rolnictwa — A. Gadzalanka, aprowizacji — E. Stawiarski, oświaty — L. Czugała, zdrowia i opieki społecznej — J. Korzycki oraz propagandy i cenzury — S. J. Lec. Już wkrótce „resorty" zmieniły nazwę na „wydziały". Zmieniła się także obsada poszczególnych wydziałów; wielu z pierwszych kierowników resortów już na początku sierpnia zasiliło administrację PKWN lub przeszło na inne odcinki pracy.

Na posiedzeniu tym postanowiono także przenieść siedzibę WRN z budynku przy Krakowskim Przedmieściu 62 do gmachu przy ul. Spokojnej 4 (obecnie 22 Lipca) oraz przygotowano tekst apelu wzywającego „wszystkich urzędników na terenie m. Lublina do włączenia się do pracy w urzędach państwowych i użyteczności publicznej w środę dn. 2 VIII 1944 r., o godz. 8.00".

W pewnym sensie apel ten miał charakter werbalny, gdyż do tego czasu znaczna część pracowników samorządowych, zatrudnionych w okresie okupacji, powróciła już do swoich miejsc pracy i przystąpiła do odbudowy administracji miejskiej. A odbywało się to w niezmiernie trudnych warunkach. „25 lipca — jak stwierdzało później sprawozdanie z działalności Miejskiej Rady Narodowej — Zarząd Miejski rozpoczął intensywne prace organizacyjne nad uruchomieniem na nowo całego aparatu administracji we wszystkich jej dziedzinach. [...] Podwaliny nowej organizacji Zarządu Miejskiego wypadło kłaść wśród ogólnego chaosu i zamętu, jaki był nieuchronnym zjawiskiem po wstrząsie wywołanym działaniami wojennymi na terenie miasta; wszelkie nici łączące poszczególne komórki organizacyjne zostały zerwane, należało je łączyć na nowo, jak też odbudowywać same komórki. W czasie walk spłonął główny gmach Zarządu Miejskiego, gdzie mieściły się zasadnicze wydziały kierujące całokształtem prac Zarządu Miejskiego; w gmachu tym spaliły się wszelkie znajdujące się tam dokumenty, akta osobowe — personalne pracowników niepracujących, oraz akta bieżące, kartoteki, akta meldunkowe i ewidencji ludności. [...] poza tym spaliły się dowody kasowe, kartoteki podatkowe, wszelkie druki Wydziału Finansowego itp. Spalenie się tych dokumentów paraliżowało w znacznym stopniu restytuowanie prac Zarządu Miejskiego. Musiano założyć nową kartotekę personalną pracowników miejskich, zameldować całą ludność miasta, słowem — odtworzyć to, co było niezbędnym i możliwym w dzisiejszych warunkach".

W pierwszym dniu po wyzwoleniu pracowało już ok. 100 pracowników Zarządu Miejskiego i przedsiębiorstw jemu podległych. Codziennie jednak liczba ta zwiększała się, by już w trzeciej dekadzie sierpnia wzrosnąć do 1482 osób (w ostatnich dniach okupacji w samorządzie i służbach miejskich pracowało 1856 pracowników stałych). Przy końcu lipca i w pierwszych dniach sierpnia działalność wznowiły m. in. służba zdrowia, administracja skarbowa, poczta, sądownictwo.

Początkowo administracja ta kierowana była przez delegackiego prezydenta miasta. Stąd też na wspomnianym posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Narodowej postanowiono i tę kwestię rozstrzygnąć ostatecznie. Doszło do tego 31 lipca. „Po krótkiej naradzie z Ignacym Logą-Sowińskim i Władysławem Zdunkiem — wspomina S. Szczepański, podówczas kierownik resortu administracji ogólnej WRN — udałem się na pertraktacje do Trybunału. Po przybyciu na miejsce poprosiłem o spotkanie z „prezydentem". Sekretarka odpowiedziała mi, że „pan prezydent jest zajęty, i że właśnie odbywa konferencję z naczelnikami wydziałów". Odpowiedziałem, że to dobrze się składa, bo ja właśnie, jako przedstawiciel WRN, przyszedłem w sprawie miasta. Po chwili wyczekiwania zjawił się „pan prezydent". Na moją propozycję współpracy i uwagi o sytuacji na terenie miasta zareplikował dość nieoczekiwanie, że on jest mianowany przez prawowity rząd londyński, że uwag może wysłuchiwać tylko od jego przedstawicieli. Dodał również, że ustąpi, ale tylko w wypadku użycia siły. Siła jednak nie była potrzebna, bo po pięciu minutach poinformował mnie, że ustępuje. W magistracie rozpoczął urzędowanie Tadeusz Kadura (działacz PPS — przyp. I. C.) mianowany prezydentem miasta z ramienia Wojewódzkiej Rady Narodowej".

Wcześniej problem „obcego" prezydenta miasta próbował rozwiązać tymczasowy przewodniczący WRN — Szymon Żołna. Ten charakterystyczny dla tego okresu epizod opisał H. Mioduchowski w interesującym szkicu na temat działalności pełnomocnika KRN („Materiały i dyskusje" nr 17). Opierając się na relacji Żołny pisze on: „Ponieważ Urząd Miejski z ramienia Delegatury działał już w komplecie od pierwszych dni wyzwolenia, pełnomocnik KRN zwracał się kilka razy do prezydenta tegoż Urzędu, Mariana Chojnowskiego, z żądaniem uprzątnięcia ulic miasta. Gdy to nie dało żadnego rezultatu, sam złożył mu wizytę. Zarzucił mu nieudolność, a pracownikom administracyjnym Urzędu Miejskiego zaproponował wybór spośród swego grona tymczasowego gospodarza miasta. Propozycja chwyciła. Bez sprzeciwu dotychczasowego prezydenta wybrano bezpartyjnego, dotychczasowego pracownika administracji. Po odejściu Sz. Żołny [...] sytuacja w Urzędzie wróciła jednak do stanu poprzedniego".

Objęcie stanowiska prezydenta miasta przez T. Kodurę nie wpłynęło na sprawniejsze funkcjonowanie odbudowującej się administracji. Dotychczasowi pracownicy Zarządu Miejskiego pozostali na swoich stanowiskach, włączając się jedynie formalnie w system administracji ludowej. Dodajmy, że nowy prezydent miasta pełnił jednocześnie stanowisko przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, a Zarząd Miejski przyjął wiele funkcji przedwojennego Starostwa Grodzkiego (np. zezwolenia na zbiórki pieniężne, opiniowanie kandydatów do służby państwowej, zezwolenia na zakładanie telefonów itp.). Poza tym nowe warunki społeczno-polityczne i stołeczność Lublina narzuciły Zarządowi wiele zadań, które dawniej nie wchodziły w zakres jego działalności.

Wkrótce miała znaleźć także rozwiązanie i sprawa „istnienia" Delegatury Okręgowej. Jak podawała „Lubelska Agencja Informacyjna" (pismo AK) „30 lipca generał sowiecki (dowódca 69 armii — przyp. I. C.) ponownie zaprosił do siebie delegata — zalecając mu współpracę z Radą Narodową". W wyniku mediacji Komendantury Wojennej Armii Czerwonej doszło także do spotkania obecnych w Lublinie przedstawicieli PKWN: B. Drobnera i S. Kotka-Agroszewskiego z delegatem i komendanta okręgu AK; rozmowy kontynuowano 31 lipca, tym razem z udziałem H. Minca (odbywały się one w siedzibie WRN). Dotyczyły one już nie Lublina, bo tutaj problem nie istniał, ale całego województwa, gdzie jeszcze działały przedstawicielstwa rządu londyńskiego, wspierane przez koncentrujące się oddziały AK. Podobnie jak i we wszystkich poprzednich rozmowach żądano, tym razem już kategorycznie, uznania PKWN i podporządkowania się oddziałów AK dowództwu WP. Przedstawiciele „obozu londyńskiego" i tym razem odmówili jakiegokolwiek pozytywnego rozwiązania, uzależniając swoje ewentualne decyzje od porozumienia między PKWN a rządem emigracyjnym w Londynie. W tej sytuacji członkowie PKWN doręczyli im pismo przewodniczącego PKWN, wzywające na ostateczne rozmowy do Chełma. „31 lipca delegat [...] wyjechał do Chełma, gdzie odbyła się rozmowa z Osóbką-Morawskim [...] delegat odmówił współpracy". Odmówił również Komendant Okręgu AK. Spowodowało to konieczność ich internowania.

W pierwszych dniach sierpnia do Lublina zaczęli przyjeżdżać pozostali członkowie PKWN i przedstawiciele innych naczelnych władz Polski Ludowej. Lublin stał się stolicą „Polski Lubelskiej".

APLAUZ DLA GOŚCI RUMUŃSKICH

Maria Bechczyc-Rudnicka

PO realizacji na lubelskiej scenie sztuki Michaila Sebastiana „Bezimienna gwiazda" w reżyserii Calina Floriana (p. nr 11 „Kameny"), dzięki przyjacielskiej umowie o współpracy między Teatrem Narodowym im. Vasile Alecsandri w Jassach a Państwowym Teatrem im. Juliusza Osterwy oglądał Lublin w dniach 24—26 maja interesujące spektakle teatru jasskiego, który prezentował „Zgubiony list" Caragialego i „Tango" Mrożka.

Ion Luca Caragiale (1852—1912). Jeśli czytelnik nie zna przebiegu życia autora „Zgubionego listu", wystarczy na początek, by zajrzał do Małego słownika pisarzy rumuńskich (Wiedza Powszechna, Warszawa 1975), gdzie hasło tego wybitnego klasyka zawiera sporo starannie opracowanych informacji. Atoli chciałbym ze swej strony zwrócić tu nie zwlekając uwagę na kilka momentów w życiorysie Caragialego — nader charakterystycznych.

Czy nie jest znamienny przede wszystkim fakt, że Caragiale, który zyskał przecie światową sławę jako dramato-pisarz, pochodził z rodziny aktorskiej? Dwaj jego stryjowie byli popularnymi aktorami, dyrektorami trup teatralnych, autorami sztuk, ojciec również był aktorem (zanim zdecydował się na adwokaturę). Młody Ion Luca już w liceum marzył o teatrze, mając lat szesnaście — wstąpił do Konserwatorium w Bukareszcie (stryj Costache prowadził tam klasę deklamacji i mimiki). Po dwóch latach Ion Caragiale musi podjąć pracę zarobkową, zadowalając się skromną posadką pisarza sądowego w Ploesti, lecz nadal przyciąga go scena. Cóż kiedy dają mu do dyspozycji zaledwie budkę suflera, najpierw w Jassach, a w sezonie 1871/72 w Teatrze Narodowym w Bukareszcie. Trwała więź Caragialego z tzw. przybytkiem Melpomeny miała się zadzierzgnąć w inny sposób. Na razie trzeba było pożegnać teatr i zarabiać na chleb gdziekolwiek się nadarzy sposobność.

Był więc Caragiale pisarzem sądowym, suflerem, będzie jeszcze korektorem, inspektorem szkolnym, archiwistą, bufetowym, dziennikarzem.

Otóż to — dziennikarzem. Dziennikarstwo stało się drugą drogą prowadzącą Caragialego do jego „Rzymu". Już we wczesnej młodości dał się poznać jako cięty satyryk. Później sam wydawał pisma satyryczne. W 1877 r. zjednał sobie rozgłos publikowanym w „Wolnej Rumunii" cyklem felietonów pt. „Studia krytyczne o teatrze rumuńskim". A w r. 1879 odnosi wielki sukces na scenie pierwsza sztuka Caragialego „Burzliwa noc", wprowadzająca do teatru rumuńskiego nowy rodzaj: realistyczną komedię obyczajową. Wkrótce potem powstaje jednoaktówka „Pan Leonidas w obliczu reakcji" (1880), ukaże się z kolei „Jak to w karnawale" i co najważniejsze — rok 1884 przynosi premierę przesławnego „Zgubionego listu", który wpisuje nazwisko autora do światowej historii teatru.

Polska prapremiera tej arcykomedii odbyła się w r. 1951 w warszawskim Teatrze Powszechnym. Następnie poznali sztukę nasi telewidzowie — w reżyserii Józefa Słotwińskiego.

W felietonach, humoreskach, a zwłaszcza w twórczości dramaturgicznej Caragialego, zaowocowała doskonała znajomość realiów życiowych nabyta przy zmiennym uprawianiu rozlicznych profesji, szczególnie zaś — bliska znajomość Rumunii powiatowej, datująca się jeszcze od lat dziecinnych pisarza, spędzonych z rodzicami z Ploesti.

„Zgubiony list" to właśnie dosadny obraz prowincji z jej „strasznymi mieszczanami". Widzimy kampanię wyborczą w małym miasteczku konstytucyjnego królestwa rumuńskiego lat 80-tych XIX wieku. Pod pozorem walki o idee ścierają się tu w istocie interesy osobiste członków dwóch partii: konserwatywnej i liberalnej. Na czele konserwatystów stoi prezes mnogich organizacji, Zaharia Trahanache, liberałom przewodzi redaktor „Ryku Karpat" Nicolae Catavencu. Podstarzały kandydat „konserwy" osiąga już szczyt popularności i nagle — cóż za pech! — jego piękna, młoda żonusia, zdradzająca go z miejscowym prefektem, gubi bilecik miłosny otrzymany od swego amanta. Niczym papier lakmusowy, który ujawnia obecność w roztworze trujących związków alkalicznych, ów zgubiony list, wędrując z rąk do rąk, staje się wskaźnikiem rozluźnienia zasad moralnych w oglądanym przez nas środowisku małomiasteczkowym. Jest przecie w tamtych konwencjach istną gratką dla szantażystów podczas wyborów. Dziś na ten cel trzeba tu i ówdzie znacznie mocniejszych środków kompromitujących, niemniej sztuka Caragialego pozostaje nadal jakże aktualnym pokazem wyborczego catch as catch can!

Reżyser, Anca Ovanez-Dorosenko, scenograf, George Dorosenco i aktorzy Teatru im. V. Alecsandri posłużyli się w swej karykaturze scenicznej celną kreską, wywodzącą się, rzekłbyś — z chlubnych tradycji słynnego karykaturzysty francuskiego Honoriusza Daumiera. Powstała przekomiczna galeria typków prowincjonalnych. Rekord trafności pobił dyrektor teatru jasskiego, Teofil Valcu, świetny aktor, grając z niezrównanym temperamentem bezwzględnego karierowicza, pseudoliberała, Catavencu, którego można skontrować jedynie rzeczowym dowodem popełnionych przezeń malwersacji.

Komplementy należą się też Marcelemu Finchelescu za postać niewydarzonego kandydata partii konserwatywnej, rogacza doskonałego, świecie wierzącego w nienaganność moralną małżonki. Gra ją z niemałą finezją i werwą pełna wdzięku Liana Margineanu. Partnera płochej Zoe w jej niedozwolonych amorach, prefekta Stefana Tipatescu, słusznie potraktował Constantin Popa jako dość przeciętnego urzędasa, sprawującego rządy „gdzieś daleko od stolicy", zarazem lowelasa na takąż skalę.

W postaci Ghity Pristandy spodziewałam się zobaczyć bardziej autorytatywnego policmajstra, ale to już sprawa koncepcji reżysera, niechaj się z nim prawuje wykonawca roli, Virgiliu Costin. Pozostałe osoby stanowią harmonijnie stylizowane tło dla prominentów.

Osobnej wzmianki wymaga postać Obywatela pod gazem, który gdyby nie alkohol, byłby chyba bohaterem pozytywnym komedii, albowiem on jeden w tym towarzystwie chce oddać głos uczciwie na godnego kandydata. Alexandru Biehan potrafił budzić z taktem sympatię widowni.

Drugą pozycją zaprezentowaną w Lublinie przez Teatr Narodowy im. V Alecsandri było „Tango". Szeroka znajomość sztuki zwalnia od potrzeby podawania jej treści, wypada natomiast przypomnieć, że Teatr im. J. Osterwy wystawił Mrożkowe arcydzieło w 1966 r. w reżyserii Józefa Grudy.

Odnotowałam wówczas, iż Józefa Gruda jest wymarzonym reżyserem dla sztuk Sławomira Mrożka. Szanując znakomite didaskalia autora przekazał dramat widzom w kształcie nie skażonym dowolnymi interpretacjami, osiągnięcie tym większe, że już wtedy dawała się dostrzec w teatrze współczesnym tendencja do awangardowego „przedobrzania" nawet tych sztuk, które były istotnie awangardowe ze swych własności konstytutywnych.

Tego niebezpieczeństwa nie ustrzegł się teraz rumuński reżyser „Tanga", reżyser skądinąd niewątpliwie bardzo utalentowany. Wydaje się, że na odkształceniu poetyki Mrożka zaważyło w danym wypadku, rzec by się chciało — „zachłyśnięcie się" młodego inscenizatora chwytami postawangardowymi, rozplenionymi dziś na scenach naszego globu, zwłaszcza w teatrach studenckich. Stąd niejedno zaskakujące udziwnienie.

Tymczasem zasadnicza oryginalność Mrożka polega na łączeniu nietypowych sytuacji i mistrzowskiej syntezy metaforycznej z podstawową materią realistyczną. Mrożek jest konkretny. Jego teatr jest teatrem dla ludzi, dla różnych ludzi w różnych swych warstwach.

Sztuki Mrożka zdecydowanie przegrywają na przeładowaniu ich niefunkcjonalnymi działaniami fizycznymi, przy których umyka uwadze widza tekst, gęsty od mądrych myśli, od problemów aktualnych dzisiaj i zawsze. Tedy lepiej np., by dramatis personae nie chodziły ustawicznie po pagórku wzniesionym z gratów, skoro w didaskaliach wstępnych aktu I wspomina się tylko o tym, że graty są, że jest bałagan, „rozplamienie, rozmazanie", a wzniesienie z draperii w jednym miejscu podłogi ma służyć jedynie tymczasowemu „zakonspirowaniu" prowizorycznego legowiska Ali.

Krótko mówiąc, to co stanowi zaletę reżysera — bogata inwencja, potrafi być w spektaklu wadą z chwilą, gdy nastąpi przerost pomysłowości.

Wiem, że jakaś krzątanina Edka przy katafalku pomaga np. Arturowi przebrnąć przez monolog czy dłuższą filozoficzną kwestię, lecz osobiście byłabym raczej za wyegzekwowaniem od aktora zaciekawienia widowni tekstem.

I tu zasadnicza wątpliwość, dotycząca ustawienia postaci Artura. Wszak ten Hamlet lat 60-tych naszego stulecia chce przywrócić światu formę i stworzyć nowy system wartości metodami odziedziczonymi po hitleryzmie, nie sposób więc zastąpić go postacią płaczliwego schizofrenika bez załamania podstaw makabreski Mrożka.

Po tym, co najważniejsze, nie zatrzymujmy się przy szczegółach. Tyle więc zrzędnych słów starego Zoila w spódnicy. A że nie wszystkie były słodkie — trudno: przyjaźń zakłada szczerość, jest ona nieodzowna w przyjacielskiej wymianie artystycznej.

Zresztą powiem teraz również otwarcie, że śledziłam spektakle „Tanga" w konsekwentnej (acz dyskusyjnej) koncepcji Cristiana Hadji-Culea — z niesłabnącym zainteresowaniem, dostrzegając w nim szereg poszczególnych pomysłów godnych, samych w sobie — podziwu. Wręcz ogromną satysfakcję dała mi postać Stomila stworzona przez Teofila Valcu. Stomil i Eleonora, ta para, która w swoim czasie programowo „nadgryzała epokę" obalając wszystkie konwencje, ma w osobach Teofila Valcu i Liany Margineanu idealnych interpretatorów.

Pozostali aktorzy wykonali rzetelnie swe zadania w duchu koncepcji reżyserskiej.

Miło mi stwierdzić w zakończeniu, że majowe występy Teatru Narodowego im. Vasile Alecsandri sprawiły Lublinowi prawdziwą radość. Cieszyliśmy się z prezentacji arcydzieła znakomitego klasyka rumuńskiego Iona Luci Caragialego, raduje nas także popularyzacja w Rumunii dramaturgii polskiej dzięki spektaklom realizowanym zarówno przez doświadczonych, jak przez młodych, obiecujących, reżyserów. Pragniemy trwałej wymiany doświadczeń artystycznych między teatrami jasskim i lubelskim, w myśl zawartej przez nich umowy o przyjacielskiej współpracy.

Ion L. Caragiale — „Zgubiony list". Teofil Valcu — (Catavencu) i Virgiliu Costin (Ghita Pristanda)

Sławomir Mrożek — „Tango". Scena I aktu III. Sergiu Tudose (Edek), Liana Margineanu (Eleonora), Cornelia Gheorghiu (Ala), Anny Braesky (Eugenia), Teofil Valeu (Stomil), Emil Coseru (Artur), Marcel Finchelescu (Eugeniusz)

ŹRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

Jakiego reportażu potrzebują Polacy?

Andrzej W. Pawluczuk

ISTNIEJE przekonanie, że najdoskonalszym światem jest taki, w którym nie istnieją konflikty. Przykład takiego przekonania dał Platon, który w swoich „Prawach" stwierdził, że „wszelka zmiana, w czymkolwiek by zachodziła, jest zawsze [...] rzeczą ogromnie niebezpieczną".

Zastanawiając się nad mechanizmem poszukiwania nowinek, nie przypadkowo jednak ten starożytny mąż zwrócił uwagę na upodobania młodego pokolenia. To ono, jak mniemał, jest tym niebezpiecznym źródłem wszelkiego niepokoju i rozgardiaszu, gdyż swym bezkrytycznym umiłowaniem rzeczy nowych podważa autorytet ustanowionego porządku. Jedną z dziedzin, które należy strzec przed zmianami, była sztuka, toteż w „Państwie" ostrzegał Platon: „Trzeba się wystrzegać przełomów i nowości w muzyce, bo to w ogóle rzecz niebezpieczna. Nigdy nie zmienia się styl w muzyce bez przewrotu w zasadniczych prawach politycznych".

Jest oczywiste, dlaczego świadomość estetyczna, zajmuje, według Platona, poczesne miejsce w utwierdzaniu całego porządku społeczno — prawnego i dlaczego unieruchomienie tej świadomości jest główną gwarancją zachowania doskonałej stałości struktury społecznej. Otóż wszystkie dziedziny życia regulowane są przez prawa skodyfikowane bądź zwyczajowe. Każdy, ktokolwiek wybiera sobie drogę życiową w tych dziedzinach, przejść musi więc przez swoistą inicjację. Raz jest to odpowiednia szkoła, która na podstawie egzaminów wydaje patent dojrzałości, innym razem kandydat musi odbyć żmudne terminowanie u mistrza zakończone „wyzwoleniem". Mówiąc inaczej, aby cokolwiek osiągnąć jako polityk, menager czy nawet szeregowy urzędnik, trzeba wprzód sprawdzić się jako doskonały wykonawca ustanowionych w tej mierze reguł.

Tymczasem inaczej jest na polu twórczości artystycznej. Wielkim artystą zostaje akurat ten, kto łamie dotychczasowe reguły i ustanawia nowe. A nawet pisarz czy malarz rangi średniej „wyzwala" się sam. Na straży jego talentu nie stoją bowiem ani prawa, ani mistrzowie. Twórczość jest więc jedyną dziedziną życia dopuszczającą niczym nie skrępowany ruch myśli. Dlatego w swym idealnym państwie musiał Platon i dla niej ustanowić obrzęd społecznej inicjacji i obwarować go odpowiednimi przepisami. Dopiero stworzywszy szczelną barierę przed wszystkim, co nowe i inne, mógł mieć pewność, że tak urządzone państwo zachowa po wsze czasy nieruchomą, pierwotną doskonałość raz ustanowionego porządku. Toteż formacje kulturowe, w których nastąpiło nieodwracalne unieruchomienie myśli i obwarowanie jej żelaznymi regułami praw i obrządków, stawiają tamę młodym pokoleniom wszędzie tam, gdzie dostrzegają najmniejszą choćby obawę wyłamania się spod obowiązujących norm postępowania.

Warto pamiętać o tym programie wielkiego filozofa, tym bardziej, że problem pokoleniowości w literaturze jest od wielu lat modny, a zagadnienie przełomów pokoleniowych — ulubionym tematem krytyków. Nasze patrzenie na tę sprawę jest wszak zasadniczo odmienne niż Platona. Z każdym nowym pokoleniem wstępującym w życie i literaturę wiążemy zawsze nadzieje, a nie obawy. Nadzieje tym większe, im surowiej oceniamy dokonania obecne i poprzednie. Słowem — w każdym nowym pokoleniu widzi się dzisiaj szanse uzdrowienia literatury, bo przecież z tej, jaką mamy mało kto jest zadowolony.

Ostatnie cztery lata w naszej literaturze upłynęły pod wyraźnie występującym boomem reportażu. Z gatunkiem tym zaczęto wiązać duże nadzieje, gdyż dało się zauważyć, że proza powieściowa coraz mniej chętnie uczestniczy w naszej codziennej rzeczywistości. Reportaż chętnie wziął na siebie rolę wdzięcznego zwierciadła. To, co kiedyś postulowali urzędnicy od kultury, poczęło jawić się faktem dokonanym; zaczęliśmy mieć w literaturze człowieka pracy i jego otoczenie, jego problemy, nadzieje i sukcesy, jakie wypełniają dzisiaj nasze zbiorowe życie. Z gatunku wyłącznie dziennikarskiego, opatrzonego podejrzanym piętnem tymczasowej doraźności i służebności, stał się reportaż pełnoprawną częścią literatury. Reporterzy przestali mieć kompleksy, że są gorsi od fikcjopisarzy. Przeciwnie — fikcjopisarze sięgnęli po techniki reportażowe, bo oni właśnie poczuli się mniej warci od pisarzy faktu, chwytających życie na gorącym uczynku.

Jeśli tak, to uprawnione jest potraktowanie reportażu na równych prawach z powieścią i poezją i spojrzenie nań tak, jakby trzydziestoparoletni okres powojennej literatury faktu był pewnym zamkniętym okresem kształtowania się gatunku. Dokonajmy zatem takiego spojrzenia i zapytajmy o przełomy pokoleniowe, ponieważ takie właśnie spojrzenie powinno dać nam podstawę do oceny zjawiska, które coraz częściej określa się mianem „młodego reportażu". Zanim jednak zapytamy o ów młody reportaż, dokonajmy jeszcze spojrzenia wstecz: na pokoleniowy przełom klasycyzmu i romantyzmu, ponieważ tam właśnie ujawniają się jak na dłoni najważniejsze problemy i wspólne cechy wszelkich pokoleniowych przełomów literackich w naszym kraju.

Ruchowi romantycznemu w Polsce dał początek spisek polityczny, tak bowiem Filomatów i Promienistych potraktowały zaborcze władze okupacyjne. Kiedy młodziutcy studenci uniwersytetu w Wilnie zakładali tajne stowarzyszenie, przyświecały im jeszcze oświeceniowe ideały nauki i racjonalizmu. Zasadniczy bunt światopoglądowy i polityczny zrodził się później, gdyż dopiero z chwilą odczucia represji młodzi spiskowcy poczuli z całą wyrazistością powagę swego położenia. Świadomość wspólnoty pokoleniowej zrodziła się zatem na podłożu wspólnie przeżywanej sytuacji. Tak więc pierwsze, świadome swej odrębności pokolenie literackie w Polsce powstało za przyczyną sytuacji nieliterackiej. Jest to ważne spostrzeżenie, ponieważ potwierdzają je lata późniejsze: źródłem każdego przełomu literackiego jest to, co dzieje się poza literaturą. Pierwszeństwo sprzeciwu świadomościowego czy politycznego przed buntem literackim udowodnił bowiem tak przełom pozytywistyczny, jak modernizm, lata 1918 — 1922, czy wreszcie najbliższy nam rok 1956 i jeszcze bliższy rok powstania Nowej Fali. Wynika z tego, że poszukiwanie przełomu pokoleniowego w literaturze tam, gdzie kultura odbywa się bez zasadniczych wstrząsów, jest złudne. Sztuka bierze się wszak z życia, materia zgrzebnej codzienności jest jej tworzywem i tam, gdzie życie nie przynosi zmian, nie przyniesie ich także literatura.

Jest to ogólne prawo wyznaczające bieg literatury i właśnie ono sprawiło, że zbieżność prozy fikcyjnej i reportażu staje się coraz bardziej widoczna i zaskakująca, tym bardziej, jeśli zważymy, że oba te gatunki ukształtowały się i rozwinęły wedle odmiennych potrzeb społecznych, odmiennych prawideł, funkcji i oczekiwań czytelników. Co również zaskakuje, to fakt, że nigdy przedtem nie pojawiały się tak wyraźne różnice pomiędzy reportażem „starym" i „młodym", czy jest to jednak objaw przełomu pokoleniowego, okaże się później. Różnice te dziwią z tej przyczyny, że przecież każdy wstępujący reporter sposobi się do zawodu pod okiem doświadczonych i wytrawnych mistrzów i musi spełniać wymagania określone przez nich, jak i przez wytyczne, którym podlega prasa. Gazety bowiem są miejscem, gdzie reporter się rodzi, jest kształtowany i urabiany stosownie do potrzeb i celów, które stawia sobie każdy dziennik czy tygodnik. Dlatego literatura faktu była zawsze wyraźnie skodyfikowana i posiadała wyraźnie wytyczone granice. I choć zasada ta nie uległa zmianie, to fakt, iż dzisiaj najmłodsi fikcjopisarze i reporterzy kładą w opisywanie świata ten sam punkt ciężkości, pozwala sądzić, że najmłodsza polska literatura znajduje się w miejscu zwrotnym. Aby wykazać, na czym to polega, musimy odwołać się do powieści młodych pisarzy. Powieści, którym zarzuca się, iż nie odzwierciedlają należycie rzeczywistości, co jest nieprawdą gdyż są one bardziej przejrzystym dokumentem dzisiejszego stanu świadomości, niż właśnie reportaż.

Powiedzieć, że jej zasadniczym problemem jest człowiek i jego ścieśniona świadomość, niczego jeszcze nie wyjaśni. Dopiero wejrzenie w tę świadomość pozwala wyraźnie zrekonstruować rzeczywistość będącą przedmiotem opisu. Jest to więc — po pierwsze — rzeczywistość unieruchomiona i ostatecznie zdefiniowana. Bohater i narrator nie wprowadzają do niej żadnych korekt, ani nie mają pod jej adresem żadnych postulatów i pytań. Ich działania ograniczają się do opisu pojedynczych sytuacji i przedmiotów. Odnosi się wrażenie, że postaci powieści uczestniczą zaledwie w spacerze po obcym sobie świecie. Dotykają go i nazywają, i do tych czynności ogranicza się ich „bycie". Nie współtworzą świata, gdyż wiedzą, że nie mają nań żadnego wpływu. Ten świat nie jest ich światem, dlatego nie chcą brać za jego kształt żadnej odpowiedzialności.

Z tego względu powieść najmłodszych autorów, Andermana, Bargiełowskiego, Bajona, Pastuszka, Sołtysika czy Natansona, różni się zasadniczo od powieści pokolenia 56. Tamta proza także uczyniła zasadniczym tematem świadomość bohatera, ale prócz tego pytała, i to w sposób zdecydowany, o sens tego, co się wokół działo. Najnowsza powieść takich, ani innych pytań nie stawia. Co więcej — ograniczenie obrazu świata do obszaru, jaki dostrzega tylko bohater, i brak przy tym narratorskiego dystansu wobec podejmowanego przezeń opisu, świadczy o kryzysie już nie tylko wartości i języka. Człowiek przemieniony zostaje z twórcy świata w jego narzędzie. Toteż w rozumieniu tradycyjnego humanizmu, który głosi, że człowiek potwierdza się poprzez działanie, powiedzieć należy, że centralnym zagadnieniem najmłodszej powieści jest zanik podmiotowości ludzkiej i unieruchomienie czasu i świadomości. Jeśli usytuujemy teraz wokół niej „nowy" reportaż, a ponadto spróbujemy odnieść go do reportażu „dorosłego", będziemy mogli mówić w jego obrębie może nie o nowej jakości pokoleniowej, lecz nowej świadomości gatunku.

Po pierwsze więc, treścią młodego i „nowego" reportażu (pomijam tu reportaż młody, lecz tradycyjnie robiony), którego reprezentatywnymi twórcami są Lech Borski, Barbara N. Łopieńska, Ewa Szymańska, Ewa Zadrzyńska, Witold Szymanderski, Wiesław Łuka i Helena Kowalik, jest także, jak w powieści, nie badanie zewnętrznego świata, lecz ludzkiej świadomości. Reportaże zawarte w debiutanckim tomiku Kowalik („Wyjście z lasu") nie opisują wsi obiektywnej, lecz świadomość wsi i konsekwencje, które niesie ona w naszym społecznym życiu. Reportaż Łopieńskiej o otwarciu salonu Mody Polskiej w Bydgoszczy („Kultura", nr 3, 1978) nie jest opisaniem sklepu. Wygląd towarów (*torby po 4500, swetry po 4300, mydła po 220*) i ekspedientek jest tu zaledwie subtelnym tłem dla ukazania stanu świadomości różnych grup społecznych i zawodowych. Klientów, którzy godzinami czekają na wpuszczenie do sklepu, by kupić paseczek za 980 złotych (*tańsze, po 220, idą wolniej*). Władz administracyjnych wreszcie: — *Pozwólcie, że podziękuję Modzie Polskiej — mówi wiceprezydent Sztolcman. — Jest to dla nas bardzo ważny moment, bo społeczeństwo Bydgoszczy odczuwa braki w zaopatrzeniu.* Wreszcie menagerów naszego handlu, którzy niczego nie rozumieją lub rozumieć nie chcą: *W Warszawie poszła plotka, że sprzedajemy botki z wężowej skórki po 24 tysiące. I skąd się to wzięło? Przecież Moda Polska sprowadziła tylko trzysta torebek z wężowej skórki po 5200, a botkami od lat nie handluje.*

W reportażu tym nie ma ani jednego słowa komentarza. Jest wyłącznie leciutkie tło opisu i dialog. Diagnoza jest już stworzona przez samą sytuację. Wystarczy ją opisać (*Za oknami gęstnieje tłum. Wszystkie miasta walczą, żeby mieć salon Mody Polskiej*), by owa demokratyczna tęsknota za salonami uzyskała społeczną sankcję. Salony bowiem uwznioślają i dlatego ich potrzebujemy.

Jeśli ów „chłodnym okiem" dokonany opis odczyta ktoś jako komentarz, jest to bardziej zasługą kultury, która wytwarza takie przedmioty i sytuacje, niż reporterki. Nie dajmy się zwieść akademickim twierdzeniom, że dobór faktów jest już sam w sobie komentarzem. Nie byłoby wówczas opowiadań nie komentujących. Zbędne byłyby długie przemówienia prokuratorów i adwokatów. Komentarzem jest wypowiedź, która jednoznacznie ocenia, a takich właśnie wypowiedzi brak w „nowym" reportażu, choć tzw. reportaż tradycyjny właśnie zasadzał się na ocenie rzeczywistości. Nie jest to wszak ani źle, ani dobrze. Literatura jest zawsze najlepsza, jaka może w swoim czasie być. Stanowi ona odbicie jakości istniejących w kulturze i komentarz jest w niej może nie konieczny dlatego, że sama kultura wytwarza komentujące się nawzajem przedmioty i wartości.

Poddanie się determinizmowi chwili, co ujawniają postaci „nowego" reportażu i najmłodszej prozy powieściowej, wyraża w ten sposób postawę, w której nieobecna jest świadomość własnego losu. Jeśli zwrócimy przy tym uwagę na fakt, iż młodzi reporterzy nie uprawiają reportażu interwencyjnego, a więc obcy im jest także problem podmiotowości ludzkiej, usytuowanie go w kręgu tej samej co najmłodsza powieść orientacji światopoglądowej — znajduje uzasadnienie.

Natomiast odmienność pokolenia „młodych" wobec pokolenia autorów reportażu „dojrzałego" zaznacza się w tym, że młodzi nie odczuwają kompleksu literatury; może dlatego nie uprawiają tzw. reportażu literackiego, który niegdyś — przed laty — nobilitował zakompleksionych dziennikarzy. Wypływa to zapewne z faktu, iż dla odmiany, pisarze zdradzają skłonności reportażowe i stylistyka ich powieści zasadza się w znacznej mierze na technice opisu reporterskiego. Można na tej podstawie przypuszczać, że w niedalekiej przyszłości zrodzi się z tego mariażu gatunek, który Rosjanie nazywają „oczerkiem". Wydaje się bowiem, że właśnie w ten sposób oczerk powstał. Nie z reportażu literackiego, jak chcą niektórzy, gdyż literackość owa była wynikiem poszukiwań wyłącznie stylistycznych, a nowy gatunek nie powstaje przecież w języku, lecz w świadomości. Oczerk polski powstanie więc dlatego, że reportaż przyjmie światopogląd literatury (co zaczyna już robić), a literatura — skoro światopogląd posiadła — przyjmie od reportażu język, czego początki są już widoczne. Odbywać się to będzie powoli i stopniowo, bo nasza współczesna kultura nie rozwija się skokami i przełomami, a nowy gatunek będzie musiał jeszcze przez wiele lat krzepnąć i szukać swego ostatecznego kształtu. Dlatego, sądzę, nikt nie dostrzeże tego procesu i za jakiś czas polscy krytycy i teoretycy literatury będą — podobnie jak dzisiaj Rosjanie — dyskutować i pytać, skąd się oczerk właściwie wziął?

Niejednego ranka oddychaliśmy wczorajszym powietrzem.

D. Opolski

Pani Irena

Anna Bocian

PANI Irena ma lat czternaście. Mówi się do niej pani, ponieważ jest panią domu i ma wymagania. Nie znosi, gdy sześcioletni Andrzej zapomina zabrać buty z podwórka, karci dziewięcioletnią Agatę, jeśli zapomni o zmywaniu i czasem bez powodu spuści lanie czteroletniej Basi.

— Ona myśli, że nami rządzi, ale to nieprawda — mówi Andrzej. — Nami rządzi tatuś.

— Tatuś nami rządzi, aż się kurzy. Jak popije, to najbardziej — dodaje Agata zbierając z podłogi klocki i widelce. — Pani Irenie dostaje się wtedy najgorzej, bo bardzo...

— Lanie ona dostaje. Za to, że jest do mamusi podobna. Tak babcia mówiła.

— Mamusia poszła z drugim — informuje rzeczowo Agata, a Andrzej dopowiada resztę:

— Mamusia nas nie chciała. To tatuś powiedział: „Po moim trupie. Nie pójdą na znajduchy."

Dzieci stoją w sieni zastawionej starymi szafkami z galerią pustych słoików i opowiadają szczegóły, które dorośli zwykli taktownie pomijać. Więc jest o tym, jak ojciec klękał i prosił matkę o litość, a ona nic tylko nawijała włosy na wałki. I o tym, jak matka zgasiła papierosa na poręczy fotela, bo nie chciała dłużej patrzeć na meble kupione za mężowską krwawicę. Oraz o tym, jak dostała w twarz i jeszcze się śmiała.

— „Nic, tylko byś w lustro patrzyła", tak jej tatuś powiedział, „i zęby do chłopów suszyła"!

— Tatuś bał się ją bardziej uderzyć, bo niedawno wyszedł ze szpitala. Wycięli mu pół żołądka i nie kazali się denerwować — wyjaśnia Agata.

— Mamusia o tym wiedziała...

— Babcia jej powiedziała... Bo mamusia ani razu do szpitala nie pojechała.

Ale nie można w nieskończoność plotkować w sieni. Więc Agata idzie do łazienki prać rajstopy, majtki, ręcznik i wszystko z miednicy, co leży namoczone z poprzedniego dnia.

— Tak się mówi i mówi, a ktoś uprać musi.

Nachyla się nad wanną i w ten sposób kończy rozmowę. Andrzej jeszcze przez chwilę oskrobuje farbę z futryny i też sobie idzie. Nie da się ukryć, że jestem intruzem. Nawet gdy tylko oglądam ostatni ślad po ich matce — kalkomanię do paznokci w muszki i biedronki, którą Irena ozdobiła kąt lustra.

W kuchni Irena odsmaża kluski. Z poważną miną patrzy w patelnię. Właśnie powiedziała, że wcale nie chce rozmawiać o domu. To niczego nie zmieni. To jest za smutne, żeby jeszcze mówić.

Przez otwarte drzwi do pokoju widać, jak Basia leży na piłce i wozi się w pozycji „zdechł pies".

— Niech pani jeszcze przyjdzie — zdąża na czas zerwać się z podłogi. — Niech pani przyjdzie.

Czekam na Irenę na murku w połowie drogi do rzeki. Wybrała to miejsce, żeby było daleko od ludzi, ponieważ w małym miasteczku nic nie może odbyć się bez komentarzy. Irena już o tym wie.

Idzie właśnie niespiesznie i jakby niechętnie. Ale zgodziła się, więc kładzie szkolną torbę na murku i wyciąga „Klubowe".

— Ja mogę mówić tylko o sobie — zaczyna. — Bo oni nigdy ze mną nie rozmawiali. Nie wiem, po co nas tyle chcieli... Mama zawsze pracowała na poczcie, my byliśmy po żłobkach, przedszkolach i w świetlicy. Ojciec zawsze był wściekły z tego powodu, ale nie mógł przecież jej uwiązać. Kiedy mama wychodziła, on siedział z nami i był zły. Ja nie wiem, czy on nas kocha, czy tylko spełnia obowiązek.

— Od kiedy tak myślisz?

— Kiedy kazał siedzieć mi w domu, bo myć okna. Taki miał argument, za ładna była wtedy pogoda. A ja już miałam dosyć jego trzaskania drzwiami i pokrzykiwań. Więc schowałam się na strychu, żeby zrobić mu trochę na złość i trochę, żeby spokojnie popłakać. Słyszałam, jak się pieklił i myślałam: zobaczysz, co jeszcze ci zrobię... Wreszcie zeszłam, bo postanowiłam, że się do niego uśmiechnę. Żeby nie był taki samotny. A on na mnie wrzasnął. Jeszcze tego samego dnia zepsułam mu maszynkę do golenia.

— Nie było ci wstyd?

— Nie... Tylko coś we mnie pękło. Teraz już od niego nic nie chcę. Nie mam do niego żalu. Ja też go nie kocham... odkąd zepsułam mu tę maszynkę.

— Dlaczego też?

— Bo mama to chyba od dawna. Oni niepotrzebnie się żenili. Ojciec zawsze zamykał za sobą drzwi, kiedy chciał zrobić mamie awanturę. Niby mieliśmy nie wiedzieć, że się kłócą. Ja nawet przykrywałam głowę poduszką, żeby nie słyszeć. A słyszałam. Wystarczy, że słyszałam podniesione głosy...

— Czy ojciec miał rację robiąc mamie awantury?

— Był zazdrosny, bo była za wesoła. Ona nigdy się niczym nie przejmowała. A ojciec z każdego drobiazgu robił problem. Inna sprawa, że jak właściwie, to mamę dom nie obchodził. Nie pytała, czy jestem głodna, jak mi idzie w szkole, gdzie poszedł Andrzej. Ona nas tylko urodziła.

— Potępiasz ją?

— Nawet nie. Ona taka była.

— A kochasz ją?

— ...tak.

— Przecież była niedobra dla ojca i wami się nie zajmowała.

— Ale to matka.

— Chciałabyś być z nią?

— Chyba nie. Najlepiej mi jak jestem sama.

Irena z powagą zaciąga się dymem. Wygląda na to, że papierosy jej szkodzą, gdyż z trudem zatrzymuje dym w płucach.

— Po co palisz?

— Bo tak... — Irena przełyka ślinę — odkąd mama odeszła. Praktycznie jestem dorosła. Ojciec źle się czuje po operacji, więc postanowiłam nie mieć do niego żalu. Albo wolałabym być w domu dziecka.

— Chyba żartujesz...

— Czasem tak mi się wydaje.

— Nie bez powodu ojciec nie chciał oddać was do domu dziecka. Musiało mu na was zależeć.

— Jak sąd pozbawił mamę praw rodzicielskich, to co on miał zrobić?

— Mógł powiedzieć, że sobie z wami nie poradzi. Przecież jest chory.

— No jest — zgadza się Irena. — Po prawdzie to on jest chory z nerwów.

— Właśnie — dogaduję, a Irena przygląda mi się podejrzliwie.

— Ja to dobrze rozumiem! — wybucha — ale już nienawidzę tego domu. Ja się w nim duszę! Po drugiej stronie działek mam takie miejsce, gdzie zimą leżał zdechły kot. Na tym kocie kończył się cały mój straszny świat. Mijałam kota i wchodziłam na łąki. Wymyśliłam sobie, że wchodzę w lepsze miejsce. Ale zaraz wracałam, bo marzłam.

Ojca Ireny spotykam przypadkiem. Stajemy przed sobą z wyczekującymi minami.

— I jak się panu wiedzie?

— No — cmoka mężczyzna — jakby tu powiedzieć, nieźle. Kokosów nie mamy, ale jakoś leci. Irenka gospodarna. Agatka jej pomaga, w szkole także...

— Nie musi pan aż tak udawać.

— Może nie dbam o całość? — żachnął się mężczyzna. — Całość jest jak najbardziej. Gdyby nie ja...

— To wszyscy wiedzą. A wie pan, czym żyje Irena?

— Jak najbardziej. Nauką i domem. Na razie w matkę nie poszła.

— Nie przypuszcza pan że może być samotna i nieszczęśliwa?

— Dobrze, ale w takim razie co ja mam powiedzieć? Przecież to błędne koło, jak najbardziej.

To jedno nie ulegało wątpliwości.

Pukaj również do otwartych drzwi. Może nie dla ciebie je otworzono.
D. Opolski

Ostatni kasztelan na Grodźcu

Lech Isakiewicz

ZAMEK w Grodźcu na Dolnym Śląsku wiekom się oparł, ale kilkunastu powojennym latom oprzeć się nie potrafił. Do konserwatorskiego zabezpieczenia obiektu przystąpiono w roku 1960. Zabezpieczono go wówczas co prawda przed rozsypaniem, rok jednak 1966 znów zastaje budowlę w stanie bliskim ruiny. Rozszabrowany dach, powycinane belki stropów, nowe ubytki w kamieniarce. Jeszcze dwa, trzy lata, a wiatr, śnieg i deszcze pozbawiłyby wykonane prace jakiegokolwiek sensu.

Oko opatrzności łaskawie spojrzało znów na zamek dopiero po kilku długich latach.

Mieszkało owo oko w pobliskim Bolesławcu i nazywało się Mieczysław Zołądź. Mieczysław Zołądź oprócz żony i córki posiadał nieszkodliwego hyzia, to znaczy zamiłowanie do wieżęgi. Hyź ten zaprowadził naszego bohatera na szczyt stożka pochodzenia wulkanicznego, na którym w wieku dwunastym Bolesław Krzywousty przekształcił warowny gród słowiański plemienia Bobrzan w kasztelanię. Kasztelania z czasem stała się rezydencją legnickich książąt, a zarazem średniowiecznym warownym zamkiem. Mury tego zamczyska właśnie ujrzał Mieczysław Zołądź w roku pańskim 1966. Spokojny dotąd posiadacz pracowni plastycznej w Bolesławcu postanowił w zamku zamieszkać. Nie odstraszało go nic. Ani pustka zupełna, ani dzika okolica, ani wichry, ani nawet duchy więzionych tu w siedemnastym wieku jeńców. Bohater nasz zamieszkał najpierw w namiocie, później w szopie, którą z desek skleił na zamkowym dziedzińcu, na koniec w jednej z komnat, po wstawieniu okien — łącznie z futrynami — i jakim takim przystosowaniu jej do zamieszkania.

Jesień 1966 zastaje mury ponownie zabezpieczone. Dach załatany, okienne otwory zabite na tyle, aby nadciągająca zima nie mogła wyrządzić wnętrzu nowych szkód, elementy kamieniarskie skatalogowane i złożone pod dach, a co najważniejsze — fizyczna obecność człowieka, którą namacalnie odczuć mogli amatorzy darmowego budulca. W tym samym mniej więcej czasie prawnym właścicielem budowli zostaje Powiatowy Ośrodek Sportu, Turystyki i Wypoczynku w Złotoryi.

Gdy zamek — przynajmniej z zewnątrz — wyglądał już jako tako, prawny właściciel przypomniał sobie o jego istnieniu i doszedł do wniosku, że na murach można zbić pieniądze, przypisując sobie jednocześnie etykietę „obrońcy uciśnionych zabytków". W krótkim czasie urządzono w zamczysku stację turystyczną z 40 miejscami noclegowymi, stołówką, kawiarnią i parkingiem strzeżonym oraz polem namiotowym. Wszystko byłoby cacy, gdyż każda pomoc — obojętnie w jakiej formie udzielona — chroni zabytki od całkowitego zniszczenia. Czasy, kiedy wybrzydzano, że PGR-y świętokradczo trzymają w pałacowych komnatach zboże, skończyły się i dziś jest szczęściem dla pałacu, gdy trzyma się w jego wnętrzu cokolwiek, zabezpieczając je w ten sposób przed wodą deszczową. Wszystko byłoby więc dobre, gdyby POSTiW przyłożył rękę do czegokolwiek poza obrzuceniem tynkiem jednej z komnat, w której urządzono kawiarnię i wstawieniem owych 40 miejsc noclegowych w postaci żelaznych łóżek. Mieczysław Zołądź — ostatni kasztelan na Grodźcu, jak sam się po kielichu mienił — któremu taka gospodarka nie odpowiadała, zaczął „rozrabiać".

I wkrótce odszedł. Odszedł zupełnie załamany. Załamany tak bardzo, że samobójstwo chciał popełnić z wieży zamkowej się rzucając, ale w ostatniej chwili ktoś go powstrzymał. Stacja turystyczna tymczasem, w ajencję niejakiemu (nomen-omen) Żołędziowskiemu oddana, prosperowała jeszcze przez rok licho, bardziej straty niż zyski przynosząc. Choć, gdyby ją dobrze poprowadzić... No, ale do tego trzeba też mieć serce.

Gdy spojrzeć na mapę, widzi się niekorzystne położenie Grodźca. Niby wszędzie blisko, a jednak odludzie zupełne. Daleko od głównych szlaków komunikacyjnych, od najważniejszych miast w tym rejonie. Oddalone w linii prostej o około piętnastu kilometrów Bolesławiec, Chojnów, Lwówek, czy Złotoryja — bliżej; Jelenia Góra, Bolków, Legnica — trochę dalej, a do każdego, gdy dysponuje się własnym środkiem lokomocji, nie więcej niż godzina jazdy. W pobliżu międzynarodowa szosa E 22, natomiast sama droga do zamku — rachityczny asfalt przetykany kocimi łbami.

Co mogło spowodować, że miejsce znane jest tylko nielicznym turystom i miłośnikom zabytków? — zastanawiam się wysiadłszy ze zdezelowanego sana kursującego dwa razy dzien-

Kamena str. 8

PARAPSYCHOLOGIA NA PERYFERIACH

Bronisław Kowalski

ZDARZYŁO się, że powiedziała komuś „Żebyś ty umarł” i on umarł. A później znów drugiemu w kłótni „Żebyś zdechł”, i też go pochowali. Zostało między ludźmi, że jestem czarownicą — opowiadała z płaczem.

Tajemne zagadki bytu. Wzdłuż kręgosłupa lęgnie się zimny dreszcz. I choć dziś nie mówi się: czary, lecz powiada naukowo: parapsychologia, czyli niematerialny wpływ człowieka na zjawiska materialne, to wypełzło skądś średniowieczne przezwisko. Pozostaje na pociechę, że w wojewódzkim mieście, i oc małe, nie zapłonie na rynku inkwizycyjny stos.

Dom stoi na peryferiach; okolica — ni miasto, ni wieś. Do centrum dalej niż do pól. W sieni budynku umyte schody, a na stopniach rozłożone gazety. Za drzwiami na piętrze szklana kula, czarny kot, sowa? Nie wiadomo, bo nikt nie otwiera, ale spotkana na podwórku staruszka to matka zapłakanej „czarownicy”. Mieszka na parterze.

Z matką taka rozmowa, że cały dom przez drzwi słyszy: głuchawa i trzeba krzyczeć by zrozumiała, że chodzi o zjawiska nadprzyrodzone. Wrzeszczę więc pytanie, czy córka skarży się, że ją nazywają czarownicą.

— Jak ona przyjdzie i co mówi, to ja nakrzyczę i ona pójdzie.

— Źle pani z córką żyje?

— No — potakuje staruszka. — Idź, mówię, ja twojej mowy nie słucham. To młode, nie wie pan?

— Bardzo młoda?

— Pięćdziesiąt trzy lata, dwoje wnuczków ma. Tam będziesz słuchać, mówię, co kto rozpowiada. Jakaż ty czarownica? Jeszcze nikogo nie obczarowała. Ona ma swój kłopot, bo z tym pijakiem żadne życie. Teraz wyjechała, już ze dwa tygodnie, prawdopodobnie do córki, tak że rentę listonosz u mnie zostawia. Już parę lat chora jest na żyłaki. Do Lublina jeździ na leki. Najwięcej do lekarzów.

Silnie pije jej mąż, głupia głowa. Ona prosi, mówi, a on garnkami rzuca, rozlewa na ziemię. Ciężkie życie z pijakiem.

— Słychać z piętra awantury?

— No.

— Córka często wyjeżdża?

— No. On do mnie zachodzi, ale ja nie lubię jego. Nie zagląda on do dobrych sąsiadów. Powali się, albo pójdzie do takich, aby popić. Córka czasem mówi, „Nie dam się bić więcej”. Ale co zrobisz, ja na to. Zechcesz ty go bić, to ci ręce pokręci. Musisz cierpieć.

Trzymają te babki wódkę. To niepotrzebnie trzymają. On aby przepić pójdzie. Niepodobne to wypicie, tak dzień w dzień. Żeby te babki nie mieli, to by tylu pijaków nie było. Ja jej mówię: „Ty byś poszła na milicję”. A ona: „Na co mi to, będę sobie złość robić”.

On pracuje, bo krawiec, ładne pieniądze bierze, ale to nic z tego. Jakby córka nie miała swoich pieniędzy, to by przepadła. Renta tysiąc trzysta coś, dwadzieścia albo trzydzieści, nie liczyłam. A od niego bardzo mało co się docieknie do domu.

I co ta wódka daje? Wódka nic nie da. Czasem ta... jakaś okazja, to po kieliszku. Ale gdzie pijakowi kieliszek? Jemu butelka lub. Trochę wypije i jeszcze chce więcej. Oj, pija, panie. Idzie taki po ulicy i, o, się chwieje. Ja mówię: żeby się w tej chwili milicjant napędził i tych gumów nawlewać.

Staruszka poszła do kuchni, bo wrzasnąłem jej w ucho, że czajnik na płycie od pary terkoce. Całe mieszkanie: pokój i kuchnia. Wysprzątane, poduszki kolorowe równo leżą na wersalce. Pościel na tapczanie na półtora metra wzwyż ułożona pod kapą. Nad szafą obrazek młodej pary, zwykłe monidło.

— To przed wojną robione. Ja nie chciała brać tego p o t r e t u — krzywi się staruszka. — Przyszedł taki, co robił, namówił i trzeba się było zgodzić. Dobre zdjęcie ja dała, ładne a p o t r e t brzydko zrobił. Nie podoba mi się. Ale wisi, panie, od przedwojny.

Z drugą córką mieszkam. Taka nie jest bardzo młoda. Już dwa syny ożeniła. Ta ma lepiej w małżeństwie. No pewnie, że lepiej, bo męża nie ma. Pijak był i umarł, ona wdowa. No panie, taki los popadł. A jak źle to na matkę: „Czego matka dała pójść za niego?” A ja mówię: „Co, broniłam? Nie broniłam za innego”. Losu nigdy nikt nie ugadnie. Czasem się zmieni, ale to nie zawsze.

Już trzy, cztery lata jak umarł. Oni ze sobą bardzo źle żyli. Rzucała go. Przyjechał, postawił pół litry spirytusu na stół: „No, mamusia, już będzie dobrze”. A ja: „Wódka nie zagodzi”. Pobyła miesiąc, dwa i znów uciekała. Żebym ja mieszkania nie miała, to ona by zginęła. I przyjęłam, bo to dziecko.

Słucham o nadprzyrodzonych zjawiskach, a staruszka mówi na dodatek:

— U nas dzisiaj pogrzeb. Umarł gospodarz, trzecie mieszkanie stąd. Na raka. Paskudna choroba, trudno wiedzieć skąd się bierze. Trzeba iść na pogrzeb, no jak. Umrę ja, to też by nikt nie przyszedł.

Jak na ponure opowieści babunia jest wyjątkowo pogodna. Po kuchni się krząta, herbatę robi na poczęstunek, śmieje się, że mało słodzę. Nawet ją nie zasmuca kłopot, że „wodę musowo nałapać, bo na ulicy pompę ładują i zlew nie ma wody”. Już nałapała w czajnik i w garnek.

Ona też ma swoją rentę, bo woźną była w szkole przez dwadzieścia lat. A potem jeszcze latem zioła zbiera, to dojdzie trochę. Zioła wszystkie kupują, jakie rosną, pokrzywa, krwawnik.

— Książkę mam taką. Patrzę się na tą książkę i zapamiętuję zioła.

— Wszystkie pani zapamięta?

— E, gdzie tam. I wszystkich nie ma u nas.

— A skąd tyle kieliszków u pani w kredensie?

— To prezenty. Jak było wnuczka wesele, niektóre goście dali mu. On nie zabrał. Nie pije tak dużo. Mąż nieboszczyk też nie pił za dużo.

Tak sobie gwarzymy: ja na całe gardło, ona spokojnie, po cichu nawet odpowiada. Gdyby nie ten czajnik, podejrzewałbym, że udaje niedosłyszącą, aby sąsiadom pokazać, że obcemu nie nagadała na nich.

— A kto mówi, że tamta córka jest czarownica? — wywrzaskuję, a na korytarzu, na schodach — tup, tup, tup. I drzwi coraz skrzypią sąsiednie. Jakby inni mniej lojalni byli od staruszki.

— Panie, plotek to tak się jednym uchem słucha, drugim wypuszcza, żeby nie było w głowie. A ja nie wiem, czy kto mówi, czy nie. Zawsze ludzie dołożą. Może tam, gdzie, kto powiedział.

— A nie można zrobić, żeby o niej tak nie mówili?

— Frajer. To jest frajerstwo. Nikt nikomu gęby nie zamknie. Nic się nie poradzi, proszę pana.

U sąsiadki z dołu można już mówić cicho:

— Ta pani z góry skarżyła się, że sąsiedzi ją czarownicą nazywają.

A sąsiadka jak nie wrzaśnie od progu:

— Bo ona jezd ma!? Ona każdemu da wypić! Taka wielka dama, a do Lublina jezdzi skarżyć? Czterdzieści lat tu mieszkam i o niej dobrego słowa nie powiem, bo niezgodna. A z mężem jak ona żyje?

— No, mąż to nie wiadomo, bo pije — mówi mężczyzna przy stole. Ale ona jedyny żandarm w kamienicy — kiwa głową. Czemu naskarżyła? Przecież ostatnio żadnej kłótni nie było — zdumiony jest.

— Ostatnio kłóciliśmy się rok temu, jak nam wodę w budynku zakładali. Ale to wszyscy się kłócili. Ona zbierała pieniądze, żeby załatwić z robotnikami. A potem musiałam i tak drugi raz dopłacać do szamba. Ona nie zamaskuje się, że jest niewinna. Co z moim pierwszym mężem nieboszczykiem jej synowie wyprawiali? Na podwórko wyjść nie dali. A i mnie chodzili przez furtkę. Dopiero ja wtedy cegłę złapała i jak nie gwizdnę! Całkiem się uspokoili dopiero, jak mi się drugi mąż trafił.

Kobieta chodzi po kuchni, rękami macha, zapiekłą żółć wylewa.

— Niech pani siądzie — proponuję.

— Ja domowa, mogę stać. Ale ty się zbieraj — pogania męża — bo na pogrzeb nie zdążymy.

Mąż się roześmiał do gościa...

— Sąsiad umarł na raka, bo leżąc nie chciał.

Taka parapsychologia żartobliwa.

— Czarownica to na nią wołała ta, co już nie żyje — mówi sąsiadka. — Kłóciły się o ściek do ogrodu. Jedna ze szpadlem, druga z grabiami, i do siebie. One obie sobie podobne były. Mówię, jak na świętej spowiedzi. Kłóciłam się z nią i ja, ale potem ręką machnęłam — niech tam bida śpi. Człowiek ustępował, choć jego krzywda była, żeby dzieci miały dobrą opinię, bo w świat szły. Dziś to się może więcej odezwę.

— Czarownica? — dziwi się inny sąsiad. — Fantazja jakaś. Nikt nie umarł. To nie polega na prawdzie. Zwłaszcza w pobliżu nie było nagłych zgonów. Dopiero jeden sąsiad niedawno umarł. Ale ona nie umie współżyć w środowisku. Ile na mnie naplotkowała i na żonę. Typowa chodząca plotka.

Z innymi lokatorami współżycie jest raczej pozytywne. Z nią też się nikt nie kłóci oficjalnie. Ugadzałem ją czasem z sąsiadami, jak jeszcze dzielnicowym tu byłem. Ale ona z każdym coś ma. I z siostrą się kłóci i z matką też nie może się zgodzić.

Ale do czarownicy nawet niepodobna. Bo w istocie jest kobietą nie najbrzydszą. Natura jej nie poskąpiła urody i nie można powiedzieć, że jej wygląd przypomina czarownicę. Zresztą, kto mówi o czarach w dwudziestym wieku? — uśmiecha się.

---

nie na trasie Bolesławiec — Złotoryja. Odpowiedź nasuwa się po zwiedzeniu wsi. Sklep GS-u klepsko zaopatrzony, knajpa przesiąknięta oparem wódy i kwaśnego piwa, droga, na której resory można połamać, brak stacji benzynowej. Reklamy też nikt dotąd nie robił, bo nie było do czego. Nie takie atrakcyjne miejsca na Dolnym Śląsku czekają jeszcze na swoich odkrywców.

Zagadnięty o drogę do zamku mężczyzna spogląda na mnie uważnie. — Pan turysta, czy służbowo? — pyta rzeczowo obciągając drelich roboczej bluzy. Odpowiadam, że Mieczysława Żołędzia szukam. — Tego, co to?... — kręci palcem na czole znaczące kółeczko. — Toż to wariat. Wypędzili go, straszyli, że milicję zawezwą, jak się pokaże, a on wrócił i dalej na zamku siedzi. Z drzewa figurki struga, ludzi po nocach straszy i za opiekuna jest. Inny już by dawno plunął na to wszystko.

Zaintrygowany nastawiam uszu. Rozmówca okazuje się niespodziewanie chętny do plotek. Zaofiarowawszy, że zaprowadzi mnie pod mury... — ale nie dalej, bo ja tego... z Żołędziem nie najlepiej jestem... — przez całą drogę opowiada dzieje kasztelanii i obecnego jej opiekuna widziane oczami najbliższych sąsiadów. — Wariat to on jest na pewno i ja swój żal do niego czuję też, ale co prawda to prawda. Gdyby nie on, z zamku kamienie by się tylko ostały, a i to nie wiadomo. Deszcz czy pogoda, mróz czy lato, on stale ino coś dłubał i naprawiał. Budulec dostać trudno, a taki niepilnowany to aż kusi, żeby furkę kamieniami załadować. Ludzie, panie, różne. Drogę nawet uporządkował, tablice poprzybijał. Niby którędy do zamku i jaki to on piastowski. Panem na Grodźcu kazał się nazywać, jak sobie popił. Ludzie jak zrozumieli, że mury mają opiekuna prawdziwego, szabrować przestali. Żeby on tylko charakter miał inny, bardziej zgodny, to dusza człowiek. Jak jemu kto nie spodobał się, to choćby i minister, za próg do środka nie wpuścił. Zamknięte, powiadał. Kluczów nie mam, i nie wpuścił.

Każdy widział w życiu przynajmniej jedną średniowieczną warownię. Zamek w Malborku przytłacza ogromem, ojcowski niedostępnością, czorsztyński malowniczością, warowne opactwo często oschłym majestatem. Wszystkie miały za cel jedno — porazić maluczkich swoją potęgą. Warownia grodziecka łączy w sobie wszystkie te cechy stwarzając całość surową i piękną zarazem. Nie tak ogromna jak Malbork, a jednak potężna; nie tak niedostępna jak zbójnickie gniazdo — Czorsztyn, a jednak szturmem nie do zdobycia, a co do malowniczości, to gdy na szczycie wieży — ponad okolicę górującej — stanąć, mało widoków od rozciągającego się w koło pogórza kaczawskiego piękniejszych.

Wiadomość, że Mieczysław Żołądź wyjechał, przyjąłem z pewną ulgą. Wchodząc na wewnętrzny dziedziniec zacząłem się bać, że jak się spotkamy, to albo przywita mnie uniżoną uprzejmością i zacznie lamętliwie narzekać na władze, konserwatorów zabytków i społeczną nieczułość, albo potraktuje jak intruza i otoczy murem nieuprzejmości. I jedno i drugie rozmazałoby portret, jaki sobie naszkicowałem. Zastępujący go — społeczny opiekun zabytków, „w cywilu” złotnik z Bolesławca — odpowiadał na pytania spokojnie, rzeczowo, starając się możliwie obiektywnie sprawę naświetlić.

— Żołądź przyszedł na kompletne ruiny. Nie było ani drzwi, ani okien. Wszystko zaczynał od początku. To dzięki niemu zamek teraz jako tako wygląda. Pieniądze? W części swoje, w części wyżebrane. W zamian za jakąś imprezę czy wykonanie dekoracji zakłady pracy materiały budowlane dadzą, czasem pracowników podrzucą. Niedawno teatr lalek zrobiliśmy. Żołądź napisał sztukę, wykonał lalki, dekoracje. Były dwa przedstawienia. Grał Żołądź, jego żona, córka i ja. Premierę zrobiliśmy dla Zakładów Górniczych „Surmin” na imprezie, którą dyrekcja na zamku urządziła. W zamian materiałów budowlanych podrzucili. Chcieliśmy zrobić drugą imprezę, z telewizji obiecali, że przyjadą. Nic z tego nie wyszło. Nawaliła telewizja, nie było reklamy. Zawiesiliśmy teatralną działalność. Komu podlegamy? Przedtem POSTiWowi, teraz sami nie wiemy. Wojewódzki Konserwator Zabytków wyrażał zgodę na wszystkie prace, jakie Żołądź przeprowadzał do tej pory. On jest w stanie sam zrobić dokumentację i sam kierować robotami, chodzi tylko o pieniądze i dwóch, trzech ludzi do pomocy. Tamta sprawa z POSTiWem? Stara sprawa, nie ma o czym mówić. Przez rok był tu niejaki Żołędziowski. Prowadził hotel i gastronomię w ajencji, po roku znudziło mu się i pojechał z powrotem do Wrocławia nic nikomu nie mówiąc. Odjechał, a wszystko pozostawił pootwierane tak, że na powrót zaczęło ulegać zniszczeniu. Jak Żołądź dowiedział się o tym, wsiadł natychmiast w taksówkę i przyjechał. Zabezpieczył wszystko na nowo, kłódki założył i tą samą taksówką pojechał do władz awanturę robić. Potem był przez pół roku na etacie kustosza z pensją tysiąc osiemset miesięcznie, ale sam więcej dokładał i wydeptał. Ile? Przez te dziewięć lat to w sumie ze cztery miliony.

Od tej rozmowy minęło kilka lat. Nie widziałem się wtedy z Żołędziem, nie poznałem go nawet do tej pory. Znajomy sekretarz Komitetu Gminnego w Lwówku opowiadał mi kiedyś, że „podarował” grodzieckiemu kasztelanowi basztę wieńczącą średniowieczne mury obronne Lwówka. Żołądź ma tam pracownię, a także baczenie na lwóweckie zabytki. Sporządził ich dokumentację, dogląda prac konserwatorskich, czasem przy kleichu do grodzieckiego zameczyska powzdycha. A sam zamek? Jerzy Grotowski przeniósł tam swoje „Laboratorium”, a miejsce to znakomite dla odprawiania w nim tajemnych misteriów, obrzędów oczyszczania, zespalania i wszelkiego zaspokajania metaficzno-terapeutycznych ciągot. Zdawać by się więc mogło, że wszystko w porządku. Żołądź ma swoją basztę, mniejszą może niż zamek, ale zawsze średniowieczną, gdzie z pożytkiem dla staroci może pracować, a Grodziec prawdziwego gospodarza... Ale, ale! Podobno ten gospodarz chce opuścić zameczysko. Lech Majewski, poeta i reżyser, który szukając odpowiedniego średniowiecznego zamku do kręcenia w nim swoich filmowych zdjęć, trafił do Grodźca, przyniósł mi wiadomość, że Grotowski chce sprzedać warownię-kontemplarnię. Za półtora miliona zresztą. Żołądź może by i kupił, ale nie ma półtora miliona. Kto więc kupi zamek w Grodźcu? W niezłym jeszcze stanie i chyba... niezbyt drogo.

Kontakty społeczne też są przekręcane.

Dominik Opolski

Dalekobieżny

Marian Buczek

DALEKOBIEŻNY Szczecin — Lublin wtacza się na peron. Tłum podróżnych przesuwa się krok do przodu jakby na przekór prośbom panienki z głośnika. Dwie godziny wcześniej odwołano dodatkowy pociąg na tej trasie, więc wszyscy nie usiądą. Ktoś się wyrywa, następny, jeszcze jeden... Zanim pociąg przystanie, w wielu przedziałach są zajęte miejsca.

— Wolne?

— Zajęte — krępy mężczyzna wystawia głowę z przedziału.

— Kiedy widzę, że wolne — upiera się kobieta.

— Wolne, bo wyszli. Nie muszą siedzieć w przedziale. Chyba jasne!

— Poczekam i zobaczę — odpowiada kobieta i przechodzi dalej.

Słyszę podobne odpowiedzi: wolne, ale zajęte. O tym, kto usiądzie w przedziale, decyduje ten pierwszy. Ruszamy w noc. W przedziale zostają jednak dwa wolne miejsca.

Na korytarzu tłoczno. Krępy zasuwa firanki i gasi światło.

— I co? Gdzie zajęte? — w drzwiach staje znajoma kobieta.

— Pani siada.

— Jak nie było wtedy, trzymajcie dalej. Wyśpicie się. Ja do Radomia, to postoję — dopowiada zza drzwi.

— Honorowa — bąka ktoś spod okna.

— Głupia — ripostuje staruszek nie przerywając zdejmowania butów. — Honor to inna sprawa — dodaje. Staruszek jedzie w Kieleckie. Jak na ironię, najbliżej do domu ma mężczyzna, który blokował wejście do przedziału. Dwie, może trzy godziny jazdy. Ktoś narzeka na podróże koleją. „Tłok i tłok latem czy zimą, a i pociągów mało".

— Gdzie ci ludzie tak jeżdżą? — podtrzymuje rozmowę kobieta spod okna.

Staruszek powiada pierwszy, że nie lubi podróży. Od dwudziestu lat nie jechał pociągiem, wybrał się w końcu do Szczecina. Okazja była: dziesiąta rocznica ślubu syna. Był trochę rozżalony, że Józek nie czekał na dworcu, ale pewnie nie mógł, wyjaśnia. Syn jest inżynierem w stoczni. Ciągle zajęty. Po godzinie błądzenia między blokami jakaś kobieta zaprowadziła go do windy.

— Synowa przywitała mnie mówiąc, że miałem przyjechać pojutrze. Była niezadowolona. Dopiero potem, kiedy wrócił Józek, podsłuchałem, jak go pytała, co ze mną zrobić, gdy przyjdą goście.

— Wychowasz dzieci, dasz im szkoły — wtrąca kobieta siedząca naprzeciwko — a oni się potem wypną.

— To ona taka. Synowa — przekonuje staruszek. — Józek, gdy wrócił z pracy, posadził mnie w fotelu i wypiliśmy zagraniczną wódkę. Wtedy i ona była jakby milsza.

— I był pan przy stole z gośćmi?

— Sam nie chciałem. Skłamałem, że mnie rozbolała głowa, zanim zaproponowali odpoczynek. Ze wsi jestem, bez szkoły, ale honorowy. Po dwóch dniach powiedziałem, że czas wracać do domu.

— Tak, tak — kiwa głową ze zrozumieniem jeden z mężczyzn. Tylko nobliwa pani przy drzwiach, która zajęła jedno z dwu wolnych miejsc, udaje, że czyta „Kobietę i Życie". Gazeta jest jednak wciąż otwarta na tej samej stronie.

— Wolne?

— Tylko jedno.

Kobieta odwraca się w stronę korytarza i woła:

— Monika, Ania, chodźcie. Dobrzy ludzie pozwolą nam usiąść.

Otyła do przesady kobieta z trudem wciska się na wskazane miejsce.

— Siadajcie, dziewczynki, na kolanach — mówi do córek i zaraz atakuje mężczyznę, że nie chce ustąpić miejsca sennym dzieciom. — Też zapłaciłam za bilety — przekonuje.

Pyskówka jak na jarmarku. W końcu jedna z dziewcząt siada. Tymczasem matka wychodzi kilkakrotnie na korytarz. Czegoś szuka, coś wyjmuje. Po godzinie deptania po nogach współpasażerów powiada do córek:

— Chodźcie dzieci, może obok są dobrzy ludzie.

Kiedy w parę godzin później pośpieszny zbliży się do Poznania, kobieta każe mężowi zbudzić dzieci i przywołać je do siebie. Chce je mieć przy sobie.

Siódma godzina podróży. Pociąg przystaje na jednej z mniejszych stacji. Zza okna dobiega głos z głośnika: „Pociąg pośpieszny z Krakowa jest opóźniony o dwieście sześćdziesiąt minut. Opóźnienie może się zwiększyć, albo zmniejszyć". I za chwilę: „Pasażerom udającym się w kierunku Lublina życzymy miłej podróży".

Z korytarza dochodzą strzępy piosenki o „dzieweczce do laseczka". Zieleń lasu ginie wraz z hukiem nadjeżdżającego z przeciwka pociągu. „Wars" blisko, w sąsiednim wagonie. Przy bufecie, jak zwykle, gdy jest piwo.

— Piweńka wystarczy dla każdego — zapewnia barman, pan Robert. Sączymy więc specjal ze studentkami uniwersytetu.

— Zmęczone? — uśmiecha się do dziewcząt. — Trzeba częściej jeździć, już dwa lata jeżdżę na tej trasie i nie narzekam, wcześniej byłem pięć lat na morzu jako kucharz.

— Ze statku na pociąg? — dziwi się przyszła germanistka.

— Wejdźcie do mnie — proponuje w odpowiedzi. — Opowiem — dodaje tajemniczo.

— A bufet?

— Zdążą się jeszcze napić. Niech te wujki — wskazuje w kierunku stolików — wypiją co kupili.

Pan Robert na zapleczu ma spory zapas piwa i trochę wódki. Barman opowiada o interesie. Na trasę wyjeżdża co drugi dzień. Co drugi dzień tylko za piwo ma dwa tysiące złotych. Pan Robert nie wlicza tu kaucji za butelki, o które z reguły nikt się nie upomina. Nie wlicza też „wujków", którzy płacą po kilka razy za jedną butelkę.

— Mówię takiemu: jesteśmy kwita, a on się upiera, że nie płacił. I cóż...

— Wujku, piweńko, najlepsze w układzie — zachęca znowu. Przy barze tłoczno, przy wyjściu do mężczyzny trzymającego niedopitą butelkę żytniej przyciska się młoda dziewczyna.

— Obalimy razem — zachęca i obejmuje mężczyznę.

— Mógłbym być twoim...

— No to wypijmy — upiera się dziewczyna. Po chwili zrezygnowana odmową odchodzi w towarzystwie swych rówieśników.

W przedziale bez zmian. Zaduch. Nikt nie wysiadł. Staruszek niestrudzenie wypytuje sąsiadkę z prawej o jakieś szczegóły majątkowe. Matka dziewczynek jakby milej spogląda na sąsiada. Pozostali drzemią. W jakiś czas później podnosi się pani z „Kobietą i Życiem". Wychodzi bez słowa.

— Przepraszam, wolne?

— Tak — mówi staruszek.

Mężczyzna jest ubrany w siwą, za dużą marynarkę, jak po starszym bracie. Ma chudą twarz. Zachowuje się tak, jakby chciał wszystkich przeprosić, że usiadł. W pewnej chwili wyjmuje miętowe landryny. — Ależ proszę, proszę się częstować — podsuwa torebkę. Ktoś wspomina o kanapkach. Mężczyzna uśmiecha się jakby przypomniał sobie o czymś szczególnym i powiada:

— Po raz pierwszy od siedmiu lat zjadłem dziś schabowego. Gdy wyszedłem, ruszyłem prosto do restauracji. Na wiele miesięcy przed wyjściem z więzienia zaplanowałem sobie taki obiad. Grochówkę i schabowego. Kotlet powtórzyłem. Pyszny.

W jednej chwili ucichło. Po długiej pauzie któraś z kobiet spytała go, dokąd jedzie.

— Do matki.

— Pan kawaler?

— Mam dwunastoletnią córkę — uśmiecha się i sięga do kieszeni. Z niebieskiej koperty wysunął kilka zapisanych kartek i dwie fotografie. — To właśnie Jadzia. Tak wyglądała siedem lat temu.

— A żona?

— Już na procesie zapowiedziała, że dziesięć lat to ona czekać nie będzie. I odeszła.

Mężczyzna rad z wyrozumiałych słuchaczy opowiada o losach małżeństwa, wzorowego do chwili wypadku. Potem, cóż, stało się. On chciałby teraz zobaczyć córkę. Zastanawia się, czy go pozna.

Wkrótce pociąg zatrzymuje się na jego stacji. Mężczyzna kłania się raz, drugi, dziękuje za towarzystwo.

— Wolne?

Weszli we dwóch, w rozchełstanych koszulach i wygniecionych garniturach. Z wesela. Pierwszy osuwa się na ławkę i mówi do drugiego:

— Krzyknij no na kobity.

— Zośka, Kaziu, tutaj...

Są. Z pękatymi torbami w rękach, zadyszane.

— Patrz, Kaziu, na naszych. Ot, chłopcy. My z tobołami, oni siedzą.

— Czego się czepiasz — odpowiada starszy. — Lepiej daj coś do jedzenia.

Kobieta odwija z gazety pałąk kiełbasy, dzieląc go na kawałki. Druga kroi chleb.

— Teraz weselną — powiada jeden z mężczyzn. — Wypijemy na klina.

Wypili. Trzynasta godzina podróży. Mijamy Nałęczów. W przedziale ucichło. Ci z wesela zapadli w błogą drzemkę. Dalekobieżny stuka po szynach. Niedługo znowu stanie na zatłoczonym peronie. Cwaniacy, zmarkotniali weselnicy oraz ci, którym trzeba było trochę szczerości wobec całkiem obcych ludzi, wtopią się w tłum, żeby się nigdy nie spotkać.

ZSMP

Kolumny zredagowali: Zbigniew W. Fronczek, Bogusław Wróblewski, Stanisław Żurek. Adres dla korespondencji: 20-078 Lublin ul. I Armii Wojska Polskiego 5. Komisja Kultury ZW ZSMP

LISTY NIE WYSŁANE

Ryszard Kapuściński
reporter

ILE razy byłeś przeznaczony na rozstrzał?

Cztery.

Krótkie pytanie i jeszcze krótsza odpowiedź. Usłyszałem te zdania podczas seansu filmowego „Bez znieczulenia". Wkrótce potem przeczytałem takie samo pytanie i taką samą odpowiedź w reportażu Gierzyńskiego o Panu.

I nie zrobiło to na mnie wrażenia. Gdyby Pan powiedział — dwa, trzy, może poczułbym zimny dreszcz na grzbiecie. Gdybym usłyszał, że pięć, sześć ... Wiedziałbym, że kiedy następnym razem spróbują Pana powiesić, urwie się pod Panem stryczek.

Stryja Pankracego tylko raz Niemcy postawili pod ścianę i zagipsowali mu usta. Przez wiele lat zrywał się po nocach i krzyczał, nie mógł pozbyć się gipsowego kneblа. Zmarł w szpitalu dla nieuleczalnie chorych. Wuj Tosiek stał pod ścianą dwa razy. I dwa razy uciekł. Dziś miewa się dobrze. Nikogo się nie boi. Nawet dyrektora zjednoczenia. Wuj Tosiek stał pod karabinami strony, która przegrała wojnę. Gdyby stał pod karabinami strony zwycięskiej, należałoby przypuszczać, że wiódłby żywot mniej pogodny.

Człowiek, który pcha się pod lufy, jest osobnikiem bez wyobraźni, albo delikatnie mówiąc szurniętym. O sformułowanie „szurnięty" można się obrazić, ale i posądzenie o brak fantazji nie jest powodem do dumy. Po co pchać rękę między drzwi, skoro ból można sobie wyobrazić. Reporter nigdy nie zostawi przyciśniętej ręki w drzwiach, on udaje, że ją wkłada. Pisarz na podobną błazenadę decyduje się rzadko. Zadowala się opisem mechanizmu zawiasów i grymasem twarzy człowieka srodze doświadczanego przez los. Kto jest większym humanistą: pisarz czy reporter, gdzie tkwią większe wartości: w reportażu czy w tekście literackim — nie mnie o tym rozstrzygać.

Jednak ludzie chcą czytać reportaże — ktoś powie. Chcą czytać o prawdziwych faktach i prawdziwych ludziach. Pan z kolei chce być jak najbliżej punktów zapalnych. Przeczuć gdzie ciepło, gorąco, gdzie parzy. Natężyć intuicję. Ukryć się w koszu na śmieci w momencie, gdy będą podpalać afrykański lub południowoamerykański Reichstag. Jeśli nie udało się przewidzieć, że zamiast Reichstagu spłonie dom towarowy w innym mieście, pojechać tam najbliższym pociągiem. O ile kursy nie zawieszone. To prawie rozumiem. Czuć w sobie te emocje. Czy zdąże nim ugaszą, czy zdążę. Te podróże. Celowe podróże. Wyobrażam sobie z jakim niesmakiem słucha Pan piosenki. „Wsiąść do pociągu byle jakiego" albo „Może by tak gdzieś pojechać przed śniadaniem".

Poniedziałek 16 kwietnia, I program PR, audycja „Trzy kwadranse z wybitnym reporterem". „Mamy najlepszy reportaż w świecie, tylko nas nie tłumaczą". Mój dobry Boże toż to tragedia. Bo to ani sławy, ni pieniędzy. Nasi reporterzy opiszą wszystko, glob cały a świat nie dowie się nigdy, jak był przez nich opisywany. Może kiedyś cudzoziemcy spostrzegą swój błąd i postarają się go naprawić. Czy się zarumienią ze wstydu? Nie sądzę. Nie sądzę bowiem, żeby Afrykańczycy czy Amerykanie znaleźli w Pańskich reportażach, powiedzmy po 100 latach, kilka zdań mogących ich zainteresować. Gdzieś 1000 lat temu pojawił się w Europie niejaki Ibrahim ibn Jakub. Napisał o naszych przodkach tylko kilka zdań. Kilka zdań, które znajdują się w każdym polskim podręczniku historii. Pan posiada w swym dorobku kilka książek w nakładzie około 200, może nawet 400 tysięcy egzemplarzy, chyba dużą popularność i niezłe mniemanie o sobie. Jednak nie uważam, by zaistniała jakaś wspólna płaszczyzna z owym Ibrahimem, który popularności nie miał żadnej, a jedynie egzemplarz (jeden) swej historii spisany ręcznie. Skoro zostało coś niecoś po nim, wnosić można, że metody miał nie najgorsze i zmysł wyobraźni wyostrzony.

Gdyby ustały przewroty i dywersacje przywódców państw znanych większości społeczeństwa z baśni 1001 nocy, poczulibyśmy się jakby z telewizji wyrzucono seriale. Odszedł cesarz, ktoś z popularnych publicystów przyznał się nawet publicznie do czegoś w rodzaju uczucia żalu do Pana gdyż rozwiał Pan mit sympatycznego Haile Selassie. Obnażył Pan mechanizmy, które wydawały się niegodne tegoż koronowanego poczciwiny. Może ów publicysta chciałby przeczytać o innych mechanizmach poruszających tryby, w które niezbyt bezpiecznie wkładać palce. Jemu brak na to odwagi, ale czemu wypuszcza Pana?

Pozostaje więc Pan jednym z najprzenikliwszych znawców polityki tzw. Trzeciego świata. I nie tylko. Niektórzy nadają Panu nawet miano pisarza, gdyż według nich — „jego właściwości nie do pomylenia ze stylem innych" (M. Radgowski Polityka 3—3—1979). Według mnie Pański styl adresowany jest nawet do takich, którzy o Afryce wiedzą tyle co autor piosenki: „Od białego ojca i od czarnej matki będą dzieci w kratki, ajaj Madagaskar Afryka na wpół dzika jest".

Pisarza interesuje człowiek. Pana interesuje człowiek jako obiekt do fotografii. Oto zdjęcie dziewczyny trzymającej w ręku karabin. Podpis: „W godzinę po wykonaniu tego zdjęcia nie żyła".

O co chodzi?

O sytuacje, w których — jak mawia poeta Cugow-Kwiatkowski — nie wystarczy mieć aparat fotograficzny, trzeba mieć serce.

Bon voyage.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

W ciszy można ogłuchnąć niepostrzeżenie.

D. Opolski

Nalot wampirów

Dokończenie ze str. 1

Naczelnik Dudziński w Rudniku zrobił po pierwszym pytaniu o nalot wampirów to samo, co naczelnik Boniek: pokręcił kilka razy korbką przy telefonie, żeby zadzwonić do lecznicy. Tylko że połączył się z doktorem Korczyńskim, zaś naczelnik w Nieliszu próbował rozmawiać z doktorem Rachtanem. A kobiety spotkane na drodze we wsi Nielisz powiedziały mi, że u nich weterynarza nie ma. I to było najlepsze potwierdzenie wyjaśnień naczelnika Bońka, że w jego gminie wampiry jeszcze nie grasują, choć prasa doniosła przedwcześnie, że tak, bo gdyby grasowały, nikt w Nieliszu nie zapomniałby, że jednak jest we wsi weterynarz.

Nie było też nalotu wampirów w Szczebrzeszynie. Ale ludzie stamtąd wiedzieli szybko, co one za jedne, bo wieść gminna niosła, że są twarde i że nie można zabić ich na paznokciu nawet jak się któregoś złapie. Tyle że w Szczebrzeszynie mogli sobie myśleć o zabijaniu pojedyńczych wampirów, bo tamtej okolicy nie nawiedziły jak plaga. Gdzie tak się stało, nikt nie pomyślał o zabijaniu wampira—jednego, czy nawet tysięcy.

Można było od nich tylko uciec. Schować się w domu, nie wyściubiać nosa na dwór. A one na dworze szalały

Szalały przez cztery dni. W ciągu dwu pierwszych zabiły siedemdziesiąt siedem krów. Pogryzły ludzi.

Wojewódzki lekarz weterynarii w Zamościu, Mieczysław Wilk, mówił o dniach nalotu wampirów, że był to „bardzo nieprzyjemny okres, bo lekarze nie byli przygotowani do tego typu awarii". W zamojskiej przyrodzie po raz pierwszy od dziesiątków lat coś się rozkojarzyło, rozprzęgło, mechanizm natury nawalił i zrodziły się wampiry.

Doktor Wilk uśmiechał się sympatycznie, spokojny już po dniach nawały, spoglądał życzliwie niebieskimi oczami i opowiadał okropne rzeczy. Bo okazało się z jego słów, że

wampir jest agresywny

a gdy napada na żywe stworzenie wydziela naprzód płyn znieczulający, wstrzykuje go pod skórę — najchętniej tam, gdzie jest ona dobrze ukrwiona i delikatna — aby ofiara nie poczuła, że ssie ją krwiopijca, następnie wprowadza do tak spreparowanej rany płyn silnie trujący, zapobiegający krzepnięciu krwi i potem już tylko doi.

Ze stworzenia ubywa systematycznie krew. Toksyczny płyn rozpływa się po ciele i paraliżuje układ oddechowy. Z układem krwionośnym jest tak, że serce ofiary zaczyna bardzo szybko bić, dwa, może trzy razy szybciej niż normalnie i dzięki temu krew płynie prędzej i obficiej do ssawki wampira. Lekarze rejestrowali u krów sto dwadzieścia uderzeń na minutę, a nawet więcej, podczas gdy u zwierzęcia nie zatrutego jadem, czyli zdrowego serce bije 50—60 razy na minutę.

Szosa do Rudnika. Chłodny wilgotny cień skończył się równo ze skrajem lasu. Łąki zaczęły się od upału. Ich rozgrzane w południe, zielone powierzchnie stały opustoszałe. Można było wędrować nie tylko po tej gminie, nie tylko po sąsiednich wioskach, ale po całym województwie zamojskim przez dwa tygodnie od piętnastego maja, i nie ujrzałoby się krów na pastwiskach. W ostatnich dniach maja, gdy niebezpieczeństwo minęło, ten i ów wyprowadził zwierzęta na trawę, ale długo krajobraz pozbawiony był widoku pasącego się bydła. Nie uświadczyło się też koni, ani świń, ani owiec. Przychówek stał pokornie, schowany w oborach, stajniach i chlewniach, i ani myślał wychodzić na zewnątrz.

Na drodze do Rudnika jedyne zwierzęta, jakie słychać w okolicy, to żaby. Rechotały i kumkały pod mostem u brzegów ni to kałuży, ni to rzeczki wśród traw. Po drugiej stronie woda sączyła się leniwie obok zabudowań gospodarskich. Sielska okolica, ale okazała się szczególnie ulubiona przez wampiry.

Kiedy dokonały nalotu piętnastego maja, nikt się ich nie spodziewał.

Naczelnik gminy Rudnik sam widział, że rolnicy nie mogli pracować na polach, bo koni nie dało się utrzymać na bruździe.

— Rzucały się — opowiadał — kopytami w boki biły, nie mówiąc o ogonie. Atak był duży, jeśli chodzi o ludzi, to prawdopodobnie był i na ludzi. Ale bydło i konie najbardziej narażone były na ucięcia.

Piętnastego maja bydło wyszło po raz pierwszy w tym roku paść się świeżą zieleniną. Przynajmniej tak było w dużej części woj. zamojskiego. Do wieczora mało kto zauważył, co się stało. A rano w wielu oborach leżały martwe krowy. W gminie Mircze padło ich trzydzieści pięć. Gdzie indziej po dziesięć, po osiem, po dwie. Lekarze weterynarii otrzymali nagle kilkaset zgłoszeń o dziwnej chorobie bydła i wówczas

rozpoczął się alarm

Szczególnie dwa rejony ucierpiały. Pierwszy to okolice Dołhobyczowa, Mircza, Tyszowiec oraz nieco na północ. Drugi, odległy o kilkadziesiąt kilometrów, to okolice Rudnika, Gorzkowa, Żółkiewki i nieco na południe i wschód.

— Tylko Zamość ocalał — mówiono w województwie.

Doktor Korczyński przez piętnaście lat pracy weterynaryjnej nie miał do czynienia z podobnymi przypadkami. Podczas pierwszego dnia nalotu wydawało mu się jeszcze, że bydłu powszechnie zaszkodziła świeża trawa. Ale szybko okazało się, że to co innego, że to wampiry.

— Objawy były groźne — opowiadał — szczególnie u bydła. Przychodzący rolnicy mówili, że traci ono apetyt i siły. Pojawiały się u zwierząt objawy zapalenia płuc. Najbardziej puchły krowom okolice żuchwy, gardła, mostka i podbrzusza. To dla rolników były objawy zastraszające. A w dodatku krowy zaczęły tracić mleko, dawały jedną trzecią normalnej ilości.

Następnego dnia doktor chwycił za telefon. Zadzwonił do Gorzkowa, do Izbicy. Okazało się, że u sąsiadów to samo — krowy zostały zaatakowane, a nawet zdychają. Wykonał telefon do Zamościa, do lecznicy wojewódzkiej. Ale tam nikt nie odbierał słuchawki. Prawie wszyscy byli w terenie. Wyjechali ratować bydło.

To samo robił u siebie doktor Korczyński. W gminie Rudnik jest bez mała pięć tysięcy krów u wszystkich rolników. Już następnego dnia, szesnastego maja, okazało się, że co najmniej tysiąc sztuk cierpi. Zdechła natomiast jedna, u rolnika w Joaninie, podobno za późno zauważył objawy zatrucia. W sąsiedniej gminie Gorzków padło siedem sztuk. Gdy po trzech dniach zrobiono w województwie pierwsze podliczenia, wykazały one, że wampiry zabiły siedemdziesiąt siedem krów. Potem padło jeszcze dziewięć. I tym się musiały wampiry zadowolić. Więcej im ludzie szaleć nie dali.

W Rudniku, obok rzeczki, w której kumkały żaby, wszedłem do gospodarstwa państwa Małyszów. Za płotem biegał po podwórku malec. Na prawej ręce miał czerwone plamy. To ślady po ukąszeniach. Malec rozdrapywał swędzące miejsca do krwi. Zaprowadził mnie do matki w izbie, a kobieta, gdy zobaczyła dzieciaka, krzyknęła:

— Artur, coś ty zrobił! Przecież to ci się sprzeciwi, dziecino! Nie skub. Posmaruję cię oksykortem.

Wszyscy Małyszowie zostali solidnie pokąsani.

— Co my przeżywamy przez te muchy! — biadoliła kobieta. — Dzieci jakie zbąblone. A babcia to aż do lekarza jeździła. Nogi poowijane. A jakie swędzące. Babciu, chodź tutaj!

Weszła babcia, ale nie miała poowijanych nóg, tylko drapała się prawą stopą po lewej łydce.

— To gazety będą pisać, że i babków pogryzły? — zdumiała się staruszka.

Drugi syn, Zbyszek, też był pokąsany. Nie wywinął się nawet gospodarz, który w upalną noc zasłonił się przez sen firanką, bo tapczan stoi obok okna, przez które, że było uchylone, powiatywały muchy i pogryzły mężczyznę.

Dziadek natomiast, mający osiemdziesiąt lat, powiada, że to cuda jakieś na świecie i że niemożliwe, żeby od much aż tak krowy chorowały. Jedna krowa Małyszów była nieomal na wykończeniu.

Wampiry, które pogryzły rodzinę tak, jak setki innych ludzi, to owady nazywane meszkami, po łacinie simulidae. Spokrewnione są z moskitami i mają od półtora do pięciu milimetrów długości. Z komunikatu naukowców wynika, że ślina tych owadów zawiera toksynę, powodującą obrzęk tkanki podskórnej, wylewy podskórne, przyspieszenia akcji serca, zmiany w śledzionie i w wątrobie oraz zapalenie płuc.

Choroba meszkowa wywołana jest ukłuciami samic, które ssą krew. Samce żywią się sokami roślin. Gdy meszki dopadną człowieka i mocno pogryzą, traci on temperaturę, czuje mrowienie, nachodzą go dreszcze i zaburzenia nerwowe, a jednocześnie pojawiają się swędzące obrzęki i krosty.

— Ona jest w podeszłym wieku — użalała się nad krową Małyszowa — Ma dziewięć lat i dlatego tak ciężko przechorowała. Druga, młodsza lepiej to zniosła. Kiedy tamtą prowadziłam do weterynarza, to myślałam, że przy lesie muchy ją zjedzą. Na wymionach był czarny olep much. Gałęzi narwałam i zgartywałam je. Krew na wymionach była czarna, jak kora na drzewach.

Gdy krowa na zdechnięciu, to jaki to upadek w gospodarstwie. Teraz krowę kupić to trzeba dwadzieścia tysięcy, a PZU jakoś taniej płaci, nie wiem dlaczego. Zastrzyki dostawała dwa razy dziennie. Olejem nacierałam pogryzione miejsca. Bardzo, bardzo to ciężkie było.

Pani Małyszowa podczas opowieści nie przerywała szycia. Wokół w izbie okrawki materiału. Na maszynie powstawała niebieska sukienka. Przy sukience krótkie rękawki. Zdziwiłem się głupio.

— Szyję z krótkimi rękawkami, bo liczymy na to, że nie zawsze będzie tyle tych much — wyjaśniła optymistycznie kobieta.

Naukowcy twierdzą, że meszka pojawia się, gdy wiosną jest wysoka temperatura, duża wilgotność powietrza i brak wiatru, oraz inne sprzyjające okoliczności w naturze. Ale już w połowie wycieczki po zamojskich wsiach

zacząłem mieć podejrzenia

że nie tylko naturalne przyczyny leżały u źródeł pojawienia się wampirów—meszek i ich gremialnego nalotu.

Pierwsze podejrzenie nastąpiło, gdy naczelnik Dudziński z Rudnika między zdaniami wspomniał o braku melioracji. Po zimie w okolicy wytrysnęły źródła od dziesięciu lat wyschłe. Obok Małyszów rzeczka ożyła po siedmiu latach. Przez łąki całej gminy płynąć zaczęła woda. Ale nie rowami melioracyjnymi, lecz jak się dało i wszędzie. Melioracja bowiem jest pod psem w całym Zamojskiem. A larwa meszki polubiła wody bieżące, tam się wylęgła i w dziesiątkach strumieni rozniosła po całej okolicy.

Następne podejrzenie wywołał lekarz Korczyński, że melioracja może i ma swoje znaczenie, ale zgubny okazał się brak wcześniejszego ostrzeżenia ze strony naukowców, iż w tym roku meszka może pojawić się w zmasowanej ilości.

W niektórych wsiach ludzie myśleli, że to szpaki zbijają się w gromady, tak wielkie roje owadów krążyły nad łąkami.

Ostrzeżenie przed nalotem mogłoby ustrzec rolników od wyprowadzania bydła na pastwiska. Ten sposób oraz tradycyjne leki dałyby wystarczającą obronę. Myślałem więc, że może brak owego ostrzeżenia spowodował „awarię" w zamojskim rolnictwie.

Myślałem tak do momentu, gdy odwiedziłem lekarza weterynarii w Gorzkowie. W jego gminie padło siedem krów. On też, jako jeden z niewielu wiedział, co to za stwór zaatakował bydło i ludzi. Wiedział, gdyż w gminie Gorzków meszka pojawiła się już w roku ubiegłym. Nie tak masowo wprawdzie, ale pokąsała dotkliwie kilka krów.

Po południu do willi lekarza przyszła kobieta z prośbą o pomoc, bo jej prosiak jest chory. „Zad mu się chwieje" — objaśniała objawy. Lekarz akurat pracował w swoim ogródku (ponoć tu też atakowały go meszki) i nakazał przyprowadzić prosiaka.

— Kiedy mąż w polu, a ja przy gospodarstwie — zaprotestowała nieśmiało kobieta.

— Ja wiem, co to za choroba — powiedział lekarz i dał zastrzyki. — Zróbcie dziś wieczorem, a jutro przyprowadźcie prosiaka do lecznicy — polecił.

Kobieta poszła, a myśmy siedli na ławeczce w ogródku obok domku lekarza.

— Właściwie to mam jeszcze dyżur w lecznicy — wyjaśnił. Połapał się i skończył wyjaśniać.

Następnie jednak dowiedziałem się, że w lecznicach i w aptekach zabrakło leków. A były potrzebne natychmiast. Meszek pojawiło się mnóstwo, ogrom. Są tak groźne, że sześć owadów potrafi zabić szczura. Jeśli zdychały krowy, to można przeliczyć, biorąc za porównanie wagę krowy i szczura, ile meszek trzeba do zabicia około pięćsetkilogramowego zwierzęcia. A zostały przecież zaatakowane tysiące krów. Zatem leków mogło zabraknąć. Zresztą brakowało ich krótko. Lekarz wojewódzki natychmiast nawiązał kontakt z ministerstwem rolnictwa i ilość medykamentów została błyskawicznie zwiększona. Już w dwa dni od pierwszego nalotu.

A zatem kolejne podejrzenie zostało podważone. Następne sformułował sam lekarz wojewódzki:

— Pasożyt jest znany w całym kraju — mówił. — Utrzymuje się z roku na rok. Nigdy jednak i nigdzie nie rozmnażał się na tyle, by zagrażać życiu zwierząt. Oprócz nalotu w Zamojskiem mieliśmy sygnały o rozprzestrzenianiu się plagi w Lubelskiem, Chełmskiem i w Nowosądeckiem. Że się pojawić mogła na południu kraju, to dość zrozumiałe, gdyż larwa meszki żyje w wodach strumieni o kamienistym dnie, zaś nasze rzeki są muliste. Nastąpiło jednak zachwianie równowagi ekologicznej. Larwa ta jest pokarmem dla ryb. Jeśli się pojawiło tak wiele owadów, to znaczy, że było mało ryb, które by zjadały larwy. Może ryby nie przetrzymały zimy, gdyż głęboko zamarzły wody rzek i wystąpiło zjawisko przyduchy. Ale przede wszystkim idzie o to, że rzeki są coraz bardziej zanieczyszczane. Brak ryb w naszych zatrutych rzekach, nie tylko w woj. zamojskiem, mógł spowodować nagły wzrost ilości meszek. Tak w przyrodzie już jest, że każdy musi mieć swego wroga, który go musi zjeść.

Gwarantuję własną skórą

nie pokąsaną mimo wycieczki, w znacznej mierze pieszej, że w województwie zamojskim i części chełmskiego i lubelskiego meszka nie gryzła już przy końcu maja. Ale naukowcy ostrzegli (tym razem), że jej trzeciego wylęgu spodziewać się można było w dniach od piątego do dziesiątego czerwca. Dla ewentualnych turystów wiadomość jest natomiast taka: po deszczach meszka ginie, bo samice nie mają siły latać z mokrymi skrzydłami i zdychają. Z głodu po prostu. To jednak bardzo delikatne stworzonka.

Bronisław Kowalski

Kamena str. 11

30 LAT ZAMOJSKIEJ SZKOŁY MUZYCZNEJ

DOBRZE być muzykiem. Nie trzeba spieszyć na siódmą do pracy, jak się zagra, tak ludzie zatańczą, albo biją brawo, jeździ się po kraju, albo nawet po zaprzyjaźnionych krajach, chadzać można w stroju dowolnym, choćby we fraku, a w ogóle to jest się artystą, czyli człowiekiem wykonującym czynności przyjemne, a przy tym opłacane. „Śpiewa i jeszcze jej za to płacą", żżymał się pewien taksówkarz, wiozący Marylę Rodowicz. „W operze to pan śpiewa, ale powiedz pan, gdzie pan pracuje", nękał pewien jegomość tenora operowego.

W powszechnym przekonaniu dobrze więc być muzykiem, no i ludzie pchają swoje pociechy do różnych szkół muzycznych, mając na uwadze prestiże, apanaże i wojaże.

Tymczasem droga do dyplomu muzyka usłana jest nie tyle nutami, co kocimi łbami, jej pokonanie wymaga końskiego zdrowia — fizycznego i psychicznego — co jakoś kłóci się ze stereotypem profesji jakby uduchowionej, lekkiej i przyjemnej. Uczennica, dajmy na to, liceum, która chadza dodatkowo do Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Karola Szymanowskiego w Zamościu, sypia na dobę, jeśli ma wyższe aspiracje i nie chce zaliczać na oceny „państwowe", z pięć godzin, co nie jest, naturalnie, następstwem jej znerwicowania, lecz twardej konieczności. Nauka w liceum ogólnokształcącym pochłania jej 36 godzin tygodniowo, zajęcia na wydziale, powiedzmy, wychowania muzycznego tej drugiej szkoły — 24 godziny. Łatwo obliczyć, że dziewczę przebywa na lekcjach 60 godzin w tygodniu, czyli 10 dziennie. Jeśli dodamy do tego czas potrzebny na naukę własną, odrabianie zadań itp., zgodzimy się chyba wszyscy, że owszem, dobrze być muzykiem, ale bardzo trudno nim zostać. Ilustrując to jeszcze inaczej i krótko: cykl wykształcenia skrzypka lub pianisty, zakończony wręczeniem mu dyplomu uczelni, trwa 16 lat — podczas gdy np. lekarzem zostaje się po 6 latach studiów.

Nie zraża to jednak ludzi przed podejmowaniem nauki w takich szkołach, które już bezpośrednio po wojnie i pod różnymi szyldami rozmnożyły się niesłychanie w kraju, mimo że zdecydowana większość uruchomionych wtedy placówek miała charakter społeczny (czytaj: składkowy) i nie dysponowała odpowiednimi lokalami, kadrą pedagogiczną z prawdziwego zdarzenia, instrumentami. Muzykowanie nobilitowało obywateli we własnych oczach i w środowisku społecznym, obiecując ponadto jakie takie źródło utrzymania. Bez muzyki i śpiewu nijak obejść się nie można: na chrzcinach, weselach i pogrzebach, podczas świąt państwowych i prywatnych, w knajpie i świątyni.

W typowych dla swojego czasu warunkach startowała też wspomniana szkoła muzyczna w Zamościu, zainicjowana i prowadzona przez kilku członków tamtejszego Towarzystwa Miłośników Sztuki: Franciszka Bachniaka (pierwszego dyrektora), Marię Bachniak, Tadeusza Bryka (dyrektorował szkole od 1961 do 1970 roku), Henryka Burzyńskiego, Jana Goździuka, Tadeusza Korczyńskiego, Marię Łopatyńską i Helenę Niwleską. Instytucja rozpoczęła działalność 1 września 1948 roku, prowadząc nauczanie w dwóch działach: dziecięcym (siedmioletnim) i młodzieżowym (pięcioletnim), skupiających 87 uczniów, którzy zamojskim, ratalnym, sposobem jakoś mieścili się w ciasnym lokaliku przy pl. Mickiewicza 1. Dwa lata później placówkę upaństwowiono, nadając jej status szkoły muzycznej I stopnia oraz dobre imię Karola Szymanowskiego. Liczba uczniów wzrosła do 169, co niewątpliwie pozostawało w związku z ogólnym rozwojem kultury w kraju, z pełnym otwarciem jej wystylizowanych na klasycyzm wrót przed „ludem pracującym miast i wsi".

Do 1961 roku w szkole nauczano w następujących klasach: fortepianu, instrumentów smyczkowych i akordeonu, później dodano do tego programu instrumenty dęte blaszane i drewniane, aby za dyrektury Jana Pałki (1970—1976) wprowadzić klasy perkusji, gitary klasycznej i innych instrumentów.

Zawsze ceniono tę szkołę w Zamościu, wspomagając ją okazyjnie np. sporymi dotacjami na zakup instrumentów, czy przydzielając, niedawno, nowy lokal przy ul. Pereca 2, zajmowany swego czasu przez internat liceum plastycznego, a więc wymagający funkcjonalnej adaptacji na nowe cele. Bo ta szkoła była i jest bardzo przydatna dla Zamościa: koncertuje na akademiach, inauguracjach, zjazdach, pod dachem i na świeżym powietrzu, dla dzieci i seniorów, dla kombatantów i współczesnych animatorów życia zbiorowego. Kiedyś dawała rocznie 15 koncertów, dziś — 40. Stać ją zresztą na to: w szkole istnieje 80-osobowy chór mieszany, skupiający m. in. rodziców uczniów, 50-osobowa orkiestra, kilka zespołów instrumentalnych i jeden wokalno-instrumentalny. W budynku przy ul. Pereca pobiera obecnie naukę 250 młodych ludzi, z czego 30 to słuchacze szkoły II stopnia, przygotowującej muzyków zawodowych i do studiów w konserwatoriach.

W ciągu minionych trzydziestu lat szkołę zamojską ukończyło 243 uczniów. 80 z nich kontynuowało naukę w średnich i wyższych szkołach muzycznych, a obecnie pracuje w krajowych, ale i zagranicznych orkiestrach symfonicznych, a także w szkolnictwie muzycznym. To, można powiedzieć, elita, najbardziej uzdolnieni, biorący udział w rozwijaniu kultury artystycznej. Ale z punktu widzenia interesów kultury niejako codziennej, współtworzonej przez ogół społeczeństwa, nie sposób odmówić istotnego znaczenia właśnie tej pozostałej i licznej grupie uczniów szkoły I stopnia, nie dającej żadnych uprawnień zawodowych, a zaopatrującej tylko dzieci i młodzież w elementarną wiedzę o sztuce muzycznej i w określone sprawności wykonawcze. Absolwenci tego kursu uczą się później w szkołach średnich o różnym profilu, studiują na politechnikach, uniwersytetach, uczelniach rolniczych i medycznych — nie zapominając przecież tego, co dała im zamojska szkoła muzyczna. Jako lekarze, inżynierowie czy urzędnicy śpiewają lub grają w różnych zespołach amatorskich, a na pewno stanowią stałą publiczność koncertów filharmonicznych, szczególnie wartościową, bo r o z u m i e j ą c ą. To takie lobby muzyczne, skupiające się często w stowarzyszeniach o doprawdy potężnych wpływach. Inna sprawa, że ludzie ci uwrażliwieni są przede wszystkim na tradycyjne wartości artystyczne, co wiąże się zapewne z treścią programów nauczania w szkołach muzycznych wiadomego typu.

Dobrze być muzykiem, lecz trudno nim zostać. Józef Przytuła, obecny dyrektor szkoły zamojskiej, rozpoczął w niej naukę gry na kontrabasie będąc uczniem X klasy liceum ogólnokształcącego. Po trzech latach został przyjęty do średniej szkoły muzycznej w Lublinie. Kiedy dotarł na III rok tej placówki, prowadzonej przez Towarzystwo Muzyczne, upomniała się o niego Marynarka Wojenna; miał swoje lata, to i musiał odsłużyć. W „marwoju" cenią sobie przecież fachowców od muzyki, więc J. Przytuła trafił rychło do reprezentacyjnej orkiestry tej formacji, w której grał dwa lata. Pod koniec służby ożenił się, a po wyjściu do cywila kontynuował naukę w lubelskiej szkole muzycznej. Kiedy rodzina wzbogaciła się o drugie dziecko (1966 r.), uzyskał dyplom i zaraz potem zdał wstępny egzamin na wydział I PWSM w Warszawie, podejmując studia w sekcji dyrygentury orkiestr dętych. Na zajęcia do stolicy jeździł co dwa tygodnie, a poza tym pracował jako nauczyciel i instruktor zespołów amatorskich. W 1972 roku podjął pracę w zamojskiej szkole muzycznej. Wcześniej, jako student IV roku, został dyrygentem Orkiestry Włościańskiej im. Karola Namysłowskiego, którą prowadził przez 6 lat. Dyplom uczelni i tytuł magistra sztuki uzyskał w 1970, a dyrekcję zamojskiej szkoły muzycznej objął w 1976 roku.

Tak, muzykiem można zostać: jeśli ma się końskie zdrowie i upór Józefa Przytuły. O szczególnej predyspozycji zwanej talentem nie wspominam, bo to rzecz oczywista, a poza tym decyduje ona o powodzeniu dopiero od poziomu szkoły II stopnia, powołanej w Zamościu w minionym roku w ramach organizacyjnej rozbudowy istniejącej dotąd instytucji I stopnia, do której ukończenia wystarczają pewne uzdolnienia, a nade wszystko dobre chęci i trochę wyobraźni. Inna sprawa, że nie są to walory tuzinkowe...

oko-lice sztu-ki

Sobocki mówił wprost...

JEST to dosyć zastanawiający przypadek: od swej pierwszej zbiorowej wystawy w krakowskim Pałacu Sztuki (marzec 1966 r.) grupa „Wprost" przeszła niejedno wewnętrzne przeobrażenie, indywidualizujące twórczość jej członków, lecz istnieje nadal — już 13 lat, co w porównaniu z egzystencją innych grup zbliżonych pokoleniowo, plastycznych i literackich, jest faktem bez precedensu. W tym czasie zdążyło powstać i w proch się obrócić kilkanaście przynajmniej ugrupowań artystycznych, które inicjowały swój marsz ku lepszej przyszłości pod hasłami trafiającymi do słuchu ludziom o różnych orientacjach ideologicznych: gotowym, powiedzmy, złożyć ofiarę samopalenia na ołtarzu anty-sztuki, jak i twórczości zwanej zaangażowaną. Twierdzi się, że powodem motylej żywotności owych formacji był brak wspólnoty przekonań wśród ich udziałowców, nieobecność głębszych motywacji zbiorowego działania, które w praktyce zastępowano dyrektywą p r z e b i c i a się za wszelką cenę na obszar życia artystycznego, dostrzegany przez instytucjonalnych patronów, krytykę itp. Sprawa rozwijała się zatem nie wokół idei, lecz wokół s t o ł u, co zresztą skrzętnie skrywano pod zasłoną bezpiecznie brzmiących haseł, powielanych w setkach egzemplarzy.

Do tej diagnozy chciałbym dorzucić pewną uwagę. Otóż bez względu na programowe zastrzeżenia autorów przeróżnych grupowych manifestów, obiecujących inwazję sztuki w sferę życia współczesnego, w praktyce członkowie owych stowarzyszeń p r z e j m o w a l i się właśnie sztuką samą, szukaniem nowych s p o s o b ó w nawiązania dialogu z rzeczywistością pozaartystyczną, czy wręcz refleksją nad mechanizmami sztuki, prowadzącą do ustaleń z zakresu socjologii lub teorii poznania. Ostatecznie punktem wyjścia do samookreślenia się wobec realnego świata była sztuka. Dotyczy to, jak sądzę, także tych działań, które miały poświadczać tezę o utożsamieniu się sztuki z życiem w zbliżającej się epoce, a jakże, postartystycznej.

Potrudziwszy się nieco można by chyba udowodnić, że takie podejście do sprawy stanowiło jeden z ważnych powodów krótkotrwałej działalności wielu ugrupowań artystycznych z lat sześćdziesiątych i początku następnej dekady. Oczywiste jest natomiast, przynajmniej dla mnie, że stosunkowo długa i aktywna obecność grupy „Wprost" w polskim życiu artystycznym wynika z przyjęcia zupełnie innej postawy: stawiającej w centrum uwagi codzienne, historycznie i geograficznie zlokalizowane, choć na początku także uniwersalne treści ludzkiego doświadczenia, związanego z emocjonalnym i społecznym przeżywaniem świata — przy jednoczesnym traktowaniu środków formalno-warsztatowych w sposób dowolny, selektywny, głuchy na zarzuty o eklektyzm, byle czytelny dla przeciętnego, tak właśnie, odbiorcy. Artystom z grupy „Wprost" od początku nie chodziło o r o z w i j a n i e sztuki, lecz o unaocznianie i komentowanie spraw naszych powszednich i ważnych, o które niemal każdy dorosły obywatel PRL musiał się otrzeć, nie zawsze z wesołym skutkiem. I to był ów moment najsilniej spajający czterech absolwentów krakowskiej ASP. Liczne dyskusje, które towarzyszyły ich wystawom na zasadzie stałego punktu programu działalności „Wprost", nieuchronnie przekraczały w swych wątkach teren sztuki, kierując się w stronę polityki, moralności, społecznej roli artysty.

W twórczości Leszka Sobockiego, którego symboliczne autoportrety można było oglądać przy końcu maja w lubelskim BWA, spotykamy różne metody, techniki czy wręcz chwyty realizacyjne, wyjęte świadomie i bez żenady z tradycji malarstwa realistycznego, z pop-artu, environmentu, rzeźby, rysunku, z kręgu ready-mades.

Na pierwszej wystawie „Wprost" Sobocki pokazał montaż „Rodząca", czyli dwie plansze ustawione pod kątem prostym i pokryte barwną tapetą oraz firankami. Namalowana na tej konstrukcji sylwetka kobiety z podkurczonymi nogami otwierała się do widza wielką dziurą w brzuchu — śladem po dziecku. Obok, na podłodze pokrytej kocem przepalonym żelazkiem, żarzyła się lampka nocna... Warto przypomnieć, że na odbywającym się w tym samym roku (1966) I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach artyści przypisani do polskiej awangardy zajmowali się głównie wizualizacją gier losowych, oswajaniem nowoczesnej techniki, plastyczną interpretacją ustaleń fizyki i montowaniem sytuacji „niemożliwych". Sobockiemu i jego kolegom z grupy takie kwestie były zupełnie obce.

Rok później uniwersalna symbolika „Rodzącej" ustąpiła w twórczości Sobockiego miejsca obrazom z konkretnej współczesności, wykonanym w technice tzw. wcierki, szeroko stosowanej w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych do realizacji rocznicowych portretów osobistości państwowych. „Portret", „Traktorzystka", „Pejzaż" czy „Wlew" to nie były zresztą o b r a z y, intrygujące np. sprawnością warsztatu, lecz obrazowe demitologizacje — jak to trafnie zauważył Tadeusz Nyczek — „tematu człowieka pracującego". W „Traktorzystce" skopiował Sobocki fotografię z jednego z dawnych roczników „Kalendarza Robotniczego", przedstawiając jednak tytułową postać w sytuacji będącej zaprzeczeniem optymizmu.

Konkret społeczno-polityczny przez kilka lat decydował o treściach twórczości artysty, aby w połowie lat siedemdziesiątych zniknąć z pola jego uwagi. W tym czasie powstały m. in. znane „Portrety trumienne": autoportrety Sobockiego malowane na rzeczach zniszczonych i odrzuconych, na siedzeniu krzesła, sfatygowanym znaku drogowym, tacy. Było to szczególne, nostalgiczne nawiązanie do siedemnastowiecznych portretów sarmackich umieszczanych na trumnach (znanych dziś zresztą i cenionych za oryginalność w Europie), nawiązanie, które sygnalizowało odejście zbliżającego się właśnie do czterdziestki autora od działalności niejako interwencyjnej. Czy Sobocki doszedł do wniosku, że sztuka jako narzędzie osądu moralnego i siła sprawcza przemian społeczno-politycznych jest w gruncie rzeczy bezradna wobec skomplikowania i ciężaru faktów tworzących życie realne? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Mogę natomiast wskazać, że podobną ewolucję przechodzi dziś wielu artystów, którzy jeszcze na początku lat siedemdziesiątych wierzyli w misyjny — w sensie społeczno-moralnym — cel sztuki.

Obecnie Sobocki przedstawia siebie samego, zaopatrując jednak obrazy, chwalące się dobrym, tzw. tradycyjnym warsztatem, w atrybuty o charakterze symbolicznym, czerpane z uniwersalnych, ale i polskich mitologii. Coś na ten temat mówią tytuły prac pokazanych w Lublinie: „Wędrowiec", „Dobry Pasterz", „Ecce Homo", „Tabula Rasa", „Konfesja". Sobocki nie jest przecież kopistą czy apologetą zmitologizowanych wyobrażeń i przekonań, lecz ich współczesnym interpretatorem, który ma prawo przedstawić „nie zapisaną kartę" w formie zawieszonej na szyi białej tablicy, czekającej na wypełnienie np. obozowym numerem. I wie, że aureola okazuje się nierzadko „przyrządem" morderczym, duszącym gardło człowieka.

Dzisiejsze malarstwo Leszka Sobockiego to gorzka refleksja nad kondycją współczesnego człowieka, który jest tu i teraz i wszędzie zarazem, który nie wie na pewno, kim jest i jakie ideały określają sens jego życia. Zrezygnowawszy z manifestacji i polemik na poziomie bieżącej chwili, artysta z pewnego oddalenia przygląda się sprawom ludzkim, które — co jednoznacznie podkreśla — są i jego sprawami. Szanujmy taką postawę, cenmy taką twórczość — nie zapominając jednak o zastanowieniu się nad kierunkiem jej ewolucji.

IJK

Między okładkami

Hryhoryj Werwes: „Jarosław Iwaszkiewicz" (z ukraińskiego przełożyła Tatiana Hołyńska).

Czytelnik, 1979, str. 229, cena 48 zł.

Rozprawa, esej, książka o Iwaszkiewiczu to niemal wymagalnik współczesnego ruchu wydawniczego. Dlatego biorąc do ręki opracowanie Werwesa mamy wrażenie, że raczej stało się zadość postulatowi, niż spotkamy się z rewelacją. Po lekturze należy zmienić zdanie. Co prawda, do rewelacji rzeczywiście nie dochodzi, ale zdumiewa rzetelne i wnikliwe potraktowanie tematu oraz znajomość polskich realiów literackich u ukraińskiego krytyka. Zdumiewa też ujęcie. Jakże łatwo było zgubić zasadnicze centra tematyczne „iwaszkiewiczologii" przy potraktowaniu biograficznym, a więc chronologicznym. Werwes wychodzi z tego obronną ręką. Rzecz harmonijnie składa się z dwóch — zdawałoby się sprzecznych — wątków: mamy pełny życiorys, mamy wnikliwe studium światopoglądowo-psychologiczne. Zresztą oprócz samego tematu jest powód do szczególnego pietyzmu u krytyka: Iwaszkiewicz to z genealogii i predyspozycji psychologicznych Ukrainiec... Pamiętamy przecież o tych błękitnościach i mgiełkach, którymi charakteryzował styl Iwaszkiewicza w „Snobiźmie i postępie" Stefan Żeromski.

Jan Bąbiński: „Dobrze wyceniony".

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1978, str. 160, cena 20 zł.

Jest to zbiór opowiadań wyróżniony w konkursie Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i Związku Literatów Polskich. Ale to dziwna lektura. Zaczyna się ją z innym uczuciem niż się kończy. W sumie — wrażenie pozostaje tak zwane mieszane. Bo i skrót i znaczne obszary tekstu, przez które trzeba przeciągać czytelniczą uwagę nieustannie ją budząc; psychologiczna penetracja i nudziarstwo na bazie banałów; konflikt i gładkie zakończenie, jakby pokłócona dzieciarnię pogodziła wyrozumiała i mądra ciotunia. W dodatku — zbiorność tematyczna tylko w opowiadaniach krótszych, bo już tam, gdzie rzecz przekracza 20 stron („Po co odgrzebywać?") pojawia się tyle wątków, że nie wiadomo, co autor chce powiedzieć. Z kolei w tekstach krótszych o nic nie chodzi. W „Powtórz to jeszcze raz" Krystyna najpierw nie chce zamieszkać razem z Fularem, a później chce. Pewnie na 8 stronach nie zdążyła powrócić do swej decyzji pierwotnej, ale problem i tak zostałby pseudoproblemem. A ze świecą — poza komisją oceniającą — szukać czytelnika, który uwierzy, że między inżynierem budowanej w lesie elektrowni a gajowym wywiąże się niemal osobisty spór na temat szkodliwości hipertrofii przemysłu i konieczności ochrony środowiska naturalnego. Uwierzył sam autor? Już w to wierzymy.

Jerzy Grzymkowski: „Odwracanie widnokręgu".

Iskry, 1978, str. 182, cena 18 zł.

Żaden doświadczony czytelnik nie da sobie wmówić, że objęcie posterunku MO przez nowego komendanta to fakt, na którym da się oprzeć refleksje humanistyczną, penetrację socjologiczną, obserwacje postaw i zachowań się ludzkich, a więc to wszystko, co składa się na literaturę. Ale pokusa tego tematu jest, ponieważ młody, świeżo po szkole upieczony komendant to łatwo dający się opisać bohater pozytywny, taki współczesny napół-Skrzetuski. Nie potrzeba tu psychologicznych analiz, wszystko rozstrzyga racja służby. I Grzymkowski wchodzi w ten nurt. Czyniąc sobie ułatwienie na 1. Bo to, co młody komendant w poznawanym przez siebie środowisku zauważa, na potrzebowe potrzeby wystarcza tyle, co psu mucha. I jakie to papierowe! Kierownik punktu skupu obowiązkowo musi coś podkradać (albo być posądzony o to), ksiądz — nałożyć podatek na wiernych (i nie wiernych) w celu odnowienia dachu kościoła, kierowniczka restauracji — świdrować oczami w głąb spraw swoich sąsiadów i motać intrygę na rzecz małżeństwa komendanta ze swoją córką. Krótko: za komendantem krok w krok chodzi autor ze swoją kamerą i to, co się przypadkowo utrwali na taśmie, przedstawia jako obraz życia. Mimo to — o dziwo — książkę się czyta. Może sprawia to przecież zręczny styl, może zamierzona łatwość percepcji. Gdybyż jednak nie ta bezkonfliktowość, która sprawia, że świat w Mochowie jest taki lekkostrawny!

Józef Ratajczak: „Świętych obcowanie".

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1978, str. 212, cena 22 zł.

W gruncie rzeczy jest to proza amorficzna. Ale żaden Schulz, Kafka, czy Joyce. Amorficzna pod względem narracyjnym. W tym sensie, że fabuła nie dzieli się na wątki, te — nie na epizody owe — nie na sceny czy sekwencje. Jeden ciągły film nie przestrzegający zasad czytelności, a mimo to czytelny. Przez konwencję jednej tonacji. Więc wypadków nie potrzeba „układać", układają się same pod wpływem przenikającej je muzyki stylistycznej. Mimo to „Świętych obcowania" nie można nazwać ćwiczeniem literackim, wprawką, etudą stylistyczną. Konkret życia ma tu swoje niezakwestionowane miejsce. I czuje się go choć wyrażonego w tak metaforyczny, czy niekiedy nawet nadrealistyczny sposób. Może tylko pierwsza scena, scena na Dworcu Głównym jest przeciągnięta w czasie (ciągle ta terminologia filmowa) co jest posunięciem taktycznie ryzykownym, ponieważ może nie „złapać" czytelnika, ale wkrótce potem rzecz natrafia na siebie. Dobra książka. Przeczytać, kto nie czytał natychmiast.

35 LAT I JA

Człowiek czuje że jest potrzebny

Alfred Gontarek

MAM 33 lata, jestem ślusarzem-spawaczem w dziale energomaszynowym na Bogdance. Zasadniczą Szkołę Zawodową i Technikum Mechaniczne kończyłem w Wałbrzychu. Stamtąd też mam żonę Reginę, która jest nauczycielką przedszkola. Całe nasze życie: i dzieciństwo, i dorosłość przypadło więc na okres powojenny. Jesteśmy już z tych roczników, którym przymierzyć się do trzydziestopięciolecia nie sposób, bo za mało mamy lat, ale może tym bardziej nam to pasuje, chociaż nie mamy porównań z przeszłością?

Kiedy w marcu 1976 roku opuszczałem wałbrzyską kopalnię „Victoria", nie tylko perspektywa otrzymania mieszkania w Łecznej była mi zachętą. Przede wszystkim chodziło mi o to, aby być bardziej przydatnym, aby móc zaangażować się w budowę czegoś całkiem nowego. Pokolenia starsze miały swoją Nową Hutę, miały wiele budów. Także i my je mamy, może nawet większe, ale nadszedł czas, że prawie wszystkie traktuje się obecnie jako coś oczywistego, normalnego, tylko niektóre są wyróżniane uwagą całego narodu. Do takich należy Lubelskie Zagłębie Węglowe i dlatego je wybrałem. Na starym miejscu trudniej młodemu się wykazać, na Bogdance wszyscy pracują jakby w tempie przyśpieszonym, no i po pionierskiu. Tu jest więcej niespodziewanego, ciekawiej. Człowiek czuje się bardziej potrzebny, odczuwa swoją odpowiedzialność.

Moim zadaniem jest konserwacja ładowarek szybowych, które wożą urobek nad głowami ludzi. Wiem: hak musi utrzymać, wszystkie zawieszenia są dość mocne, ale kiedy rewiduję lub konserwuję te wyciągowe urządzenia, to sprawdzam każdy kawałek liny, każde kółko, nic nie przepuszczę, bo wiem, że koledzy mi ufają. A jednak może zdarzyć się awaria, może coś stanąć nawet w nocy. Trzeba zostawić ciepłe łóżko. Zawsze razem jedziemy z Krystianem Lindnerem, który też przybył tu z Wałbrzycha, ale już mieszka z żoną, oboje mają [illegible] mieszkanie. Naprawiamy, robi[illegible] aż maszyna wyciągowa znowu [illegible]szy, a górnicy z dołu będą m[illegible] urobek spod nóg ładować do ku[illegible]łów i wysyłać do góry. Tak [illegible]wiek czuje, że jest potrzebny [illegible] jest ceniony jako fachowiec w [illegible] jej robocie. Sztygar zmianowy [illegible]toni Durlak pilnuje, żeby [illegible] sprzęt był utrzymywany w na[illegible]tym porządku, aby typowy go[illegible]czy wypadek nie mógł się zda[illegible] ale i my wiemy, co do nas na[illegible] żeby było dobrze i bezpiecznie.

Mam wnet otrzymać mieszk[illegible] dla mojej rodziny, dano mi [illegible] na małego fiata, ale najważni[illegible] dowód uznania, który mnie na B[illegible]dance spotkał, to galowy mundur górniczy. Z tego mogę być naprawdę dumny, bo wiadomo, co to znaczy, kiedy się otrzymuje taki podarek.

Widać z tego, co tu napisałem, że rzeczywiście całe moje życie związało się z naszą współczesną rzeczywistością. Zbieram jakby owoce trudu tych, co odbudowywali kraj, ale przecież moje pokolenie i ja osobiście swoją pracą pomnażamy to dobro, żeby nie być dłużnikami. U nas na kopalni każdy tak myśli, że do tego, co zrobione, trzeba swoje dodać, a nie tylko brać.

Michał Grzegorz Pernach

* * *

kocham
nasze powroty
bez słów
i nasze
ukojenie

kocham
naszą wspólną samotność
że tylko
dotykiem głów
że tylko
ramieniem

* * *

nie
nie otwieraj
zbyt wcześnie
bo dzień mi zaraz
ucieknie
dzisiaj szczęściem są dla mnie
zamknięte drzwi
i drżenie moje
gdy pukam

* * *

lepiej mi było
nie wiedzieć
mankiem o noc nie pytać
lepiej mi było
nie wiedzieć
skąd ta muzyka

* * *

ja chciałbym
żeby było tak zawsze
żeby ciągle
było mi ciebie brak
i tak chciałbym
pobiegać z latawcem

* * *

we mnie
nie ma zdrady
cóż
oszukuję nieporadnie swoje
życie
pisząc kolejny wiersz

Piotr Czarnecki

* * *

między poetami
panuje głośna
cisza wątpliwości
są połączeni niewidocznym
krwiobiegiem zadumy
chodzą zawsze wolniej
patrzą bardziej wnikliwie
pierwsi ronią łzę
piją te same trunki
kochają te same kobiety
może na różne sposoby
ale zawsze powracają
na kartkę papieru
i wypisują
podobną zawartość
swoich domnieman

Wiersz ten uzyskał III nagrodę w konkursie im. K. Świerczewskiego na Krośnieńskich Dniach Literatury. Przyznało ją jury pod przewodnictwem Krzysztofa Gąsiorowskiego. Piotr Czarnecki debiutował na naszych łamach i jest mieszkańcem Biłgoraja, należy do grupy literackiej „Zamościa".

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 75 LATY

● Kilkakrotnie poruszaliśmy kwestię usunięcia z Krakowskiego Przedmieścia zakładów kamieniarskich. Rozsiadło się ich trzy — w niewielkiej odległości, jeden obok drugiego i szpecą miasto cmentarnym widokiem wystawionych pomników grobowych. Do najbrzydszych widoków można się przyzwyczaić, gdyby tylko chodziło o zeszpecenie pryncypialnej w mieście ulicy, to możnaby, wzruszywszy ramionami, pogodzić się z tym, ale i na przyszłość Krakowskie Przedmieście wyglądać będzie jak cmentarzysko. W danym razie idzie o coś więcej, bo o porządek miejski i zdrowie publiczne. Zakłady kamieniarskie, o jakich mowa, wyrabiają płyty grobowe i składane z kawałków pomniki z kamienia kruchego i nietrwałego, przy obrabianiu którego wytwarza się masa miałkiego pyłu i kurzu, a przy najsłabszym wietrze całe Krak. Przedm. i położone przy tej ulicy mieszkania są całe w pyle. Kiedy do wiatru trafi się gorący dzień, to wtedy robi się prawdziwa Sahara i prawie oddychać nie można. Zakłady kamieniarskie na Krak. Przedm. w Lublinie otworzone zostały prawdopodobnie nieprawnie bez pozwolenia rządu gubernialnego. Istnieją zatem nielegalnie i niezwłocznie powinny być usunięte.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

● W Dzienniku Zarządu Miasta Lublina w numerze 10 z dnia 11 maja br. zostały ogłoszone przepisy sanitarno-weterynaryjne w przedmiocie urządzenia i utrzymywania stajen i zajazdów w Lublinie, prowadzonych w celach zarobkowych — zatwierdzone reskryptem p. Wojewody Lubelskiego z dnia 18 stycznia 1929 r.

Stosownie do przytoczonych przepisów (§ 15) istniejące w Lublinie stajnie i zajazdy winny być dostosowane do postanowień omawianych przepisów w ciągu roku od dnia ogłoszenia w Dzienniku Zarządu Miasta.

Na podstawie powyższego Zarząd m. Lublina wzywa osoby zainteresowane, aby prowadzone w celach zarobkowych stajnie i zajazdy w Lublinie były bezwzględnie w oznaczonym terminie doprowadzone do należytego porządku w myśl wydanych przepisów i uprzedza, że po tym terminie stajnie i zajazdy, które nie zostaną doprowadzone do wymaganego stanu, ulegną zamknięciu a nadto ich właściciele zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej.

„Głos Lubelski"

Wybrała Anna Orzechowska

KRONIKA KULTURALNA

● Centralny Komitet Wykonawczy SEC (Société Européenne de Culture), z siedzibą w Wenecji, przyjął w poczet członków organizacji członka Kolegium redakcyjnego „Kameny", Marię Bechczyc-Rudnicką. Serdecznie gratulujemy.

● 11 czerwca odbyła się uroczystość oficjalnego zakończenia Lubelskich Spotkań Plastycznych, imprezy ogólnopolskiej zainicjowanej w 1976 roku przez władze polityczne Lubelszczyzny, a rozwijanej w praktyce przez władze kulturalne województwa, Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego i LSM, na której terenie kilkudziesięciu plastyków z różnych ośrodków kraju wykonało szereg rzeźb, malowideł, mozaik i elementów o charakterze estetyczno-rekreacyjnym. W uroczystości uczestniczyli: W. Kruk, I sekretarz KW PZPR w Lublinie; W. Bek, pierwszy zastępca ministra kultury i sztuki; St. Kukuryka, prezes CZSBM; M. Stępień, wojewoda lubelski. Osobom zaangażowanym w przygotowanie i realizację LSP wręczono odznaczenia i dyplomy honorowe. „Złotą Honorową Odznakę CZSBM" otrzymał m. in. red. Ireneusz J. Kamiński, pracownik naszej redakcji. (O Spotkaniach szerzej w kolejnym numerze „Kameny".)

● Od 16 do 18 czerwca odbywały się w Kurowie I ogólnopolskie dni poezji ludowej, poświęcone pamięci Jana Pocka. Impreza będzie kontynuowana w następnych latach.

● Wacław Mazurek, najstarszy muzyk Państwowej Symfonicznej Orkiestry Włościańskiej im. Karola Namysłowskiego, skończył 70 rok pracy w tym znanym i zasłużonym dla folkloru zespole 86-letni dziś skrzypek brał m. in. udział w wielkim tournee orkiestry po 14 stanach USA w 1924 r. „Kamena" przyłącza się do licznego grona osób i instytucji, które w dniu jubileuszu skierowały do W. Mazurka życzenia wszelkiej pomyślności.

● 15-lecie działalności obchodził w połowie czerwca Zespół Pieśni i Tańca Ludowego „Głusk", skupiający obecnie blisko 300 osób z tej podlubelskiej miejscowości i okolic, znany w kilku krajach i patronujący polonijnym grupom folklorystycznym we Francji. Zespół od dawna prowadzony jest przez Krzysztofa Ciejpę — Znamirowskiego i posiada charakter rzeczywiście ludowy — choćby przez to, że w jego składzie znajdują się m. in. gospodynie wiejskie.

● Na I Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków, który odbędzie się w październiku, napłynęło niemal 60 zgłoszeń, m. in. z Bułgarii, Czechosłowacji, Finlandii, Jugosławii, NRD, Wielkiej Brytanii i ZSRR. A lista, na której znaleźli się wirtuozi już utytułowani na różnych konkursach muzycznych, nie została jeszcze zamknięta. Patronat nad imprezą objął Zygmunt Najdowski, minister kultury i sztuki, natomiast do przewodniczenia pracom jury zaproszono prof. Irenę Dubiską.

● W Lublinie przebywał prof. dr hab. inż. Zbigniew Strzelecki z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, wybitny specjalista w dziedzinie zabezpieczania podziemi miast zabytkowych, mający za sobą np. prace w Jarosławiu, Krakowie, Opatowie, Rzeszowie i Sandomierzu. Profesor przygotuje program zabezpieczenia części podziemnej lubelskiego Starego Miasta.

● W Muzeum J. I. Kraszewskiego w Romanowie czynna jest wystawa „Kraszewski na Podlasiu", przedstawiająca związki pisarza z tym regionem. Przy okazji informujemy, że sympatyczną placówkę odwiedza rocznie ok. 10 tys. osób, co biorąc pod uwagę peryferyjne położenie miejscowości należy uznać za wskaźnik wysoki. Muzeum urządza też wystawy plastyki współczesnej, przesyłane z lubelskiego BWA; niedawno prezentowano w Romanowie interesującą grafikę.

● 19 czerwca w Zamościu otwarto VIII Ogólnopolskie Biennale Fotografiki „Zabytki", zorganizowane przez Zamojskie Towarzystwo Fotograficzne.

● Zbigniew Kurkowski z Kielc wystawiał malarstwo w lubelskim BWA (otwarcie 7 czerwca). Artysta znany jest nieźle w naszym mieście, a to dzięki udziałowi w „Wystawach 4 Województw" (Białegostoku, Kielc, Lublina i Rzeszowa), z których pierwsza odbyła się w kwietniu 1962 roku, ciesząc się faktycznie dużym zainteresowaniem publiczności, środowiska plastycznego wspomnianych regionów i organizatorów. Wzmianka o tych ostatnich nie trąci paradoksem w kontekście naszej wiedzy o oprawach niektórych współczesnych wystaw.

● Studenci Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS wystąpili w galerii „Labirynt" z pokazem „Wyobraźnia i forma". Natomiast absolwent tego Instytutu, Maksymilian Starzec, prezentował malarstwo w Klubie MPiK przy ul. Leonarda (otwarcie 9 czerwca). Były to ekspozycje tyle odmienne ideowo, co interesujące poziomem.

● Red. Ireneusz J. Kamiński otrzymał III doroczną nagrodę Klubu Zagadnień Polonijnych ZG Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za cykl reportaży o Polonii w RFN, opublikowanych w 1978 r. na łamach „Kameny". Nasze gratulacje.

● Red. Maciej Podgórski, nasz kolega redakcyjny, otrzymał jedną z II nagród (i nie przyznano) w konkursie reporterskim na temat Linii Hutniczo-Siarkowej. Gratulujemy.

KALEJDOSKOP

Fotomagister

Naczelna Organizacja Techniczna w Lublinie powieliła w liczbie 400 egzemplarzy materiały drugiej międzynarodowej konferencji, zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Chemiczne (sekcja ochrony środowiska), UMCS (Instytut Chemii), Oddział Wojewódzki NOT w Lublinie i Biuro Projektów Gospodarki Wodno-Ściekowej (BIPROWOD) na temat: Metody fizykochemiczne oczyszczania wody i ścieków.

Pokaźnej objętości książkę otwierają zdjęcia 108 (słownie: stu ośmiu) referentów (profesorów, docentów; doktorów, magistrów).

Z pań najbardziej przypadła nam do gustu Anna Jóźwiak, z panów — Jerzy Dziejowski.

Niestety, z treści książki nie udało się stwierdzić, jaką rolę spełniała na konferencji wymieniona dwójka. Brak również jej zwięzłych życiorysów. Pewną rekompensatę stanowi jednak kilkakrotnie powtórzona notka dotycząca innego naukowca.

A swoją drogą wydawcy publikacji popełnili wielki błąd nie informując o stanie cywilnym osób. Skoro bowiem powiedziało się A (zdjęcia)...

Z donosami ostrożnie!

„Szpilki" drukują (nr 23) taki donos czytelnika: „Idą ciężkie czasy, niegdyś dzielono zapałkę, obecnie otrzymaliśmy przepołowioną żyletkę super iridium. Może by ktoś z kierownictwa wytwórni łódzkiej zademonstrował w naszej obecności jak się ogoli taką żyletką". Odpowiedź jest prosta: kupić maszynkę do golenia „Schick-Injector". Zapraszamy „Szpilki" do „Kameny". Zademonstrujemy.

W tychże „Szpilkach" Prutkowski pisze: „Z ogromną sympatią i podziwem obserwujemy bohaterską walkę obu Polonii — bytomskiej i warszawskiej. Mam pecha kibicowania tak jednej jak i drugiej, a jednak cieszę się, że spadają z obu lig tak wspaniale, z godnością... Polonia Bytom rzeczywiście spadła wspaniale. Tak wspaniale, że w I lidze pozostała. Prutkowski dalej się cieszy?

Rybicki o Zmarzliku

Jerzy Rybicki, mistrz olimpijski w boksie, powiedział do przedstawiciela „itd" (nr. 23): „celuje w tym (bym się wycofał) Jerzy Zmarzlik z „Przeglądu Sportowego". Mnie się natomiast wydaje, że pan Zmarzlik zbyt długo zajmuje się boksem, jest znudzony i przemęczony. Radzę mu również szczerze jak on mnie, aby zakończył karierę. Pan Zmarzlik tak samo nie lubi ostatnio Andrzeja Biegalskiego, bo przegrywa, a przecież napisał o Biegalskim książkę, gdy ten został mistrzem Europy. To może teraz drugi tom... Czekamy..." Czy to jest już nokaut?

Jakiej płci?

„Jakiej płci jest autorka listu, podpisanego Maria K. (Warszawa) który ukazał się w poprzedniej „Kamenie"? Czytamy w nim: „zauważyłem", „dowiedziałem się" — zapytuje nas p. Jan Zabłocki z Lublina. Odpowiadamy: kiedy zamiast dyrektorka, mówi się dyrektor, zamiast profesorka — profesor, zamiast doktorka — doktór, wszystko może się zainteresowanym (i nie tylko im) poplątać... A Maria może być również imieniem męskim, które nosił choćby Artur Maria Swinarski!

Pies i LOT

„Pies" — to nazwa pisma, wydawanego w liczbie 9000 egzemplarzy przez Związek Kynologiczny w Polsce. W numerze 2/1979 znajdujemy dwa całostronicowe ogłoszenia: PZU i LOT-u. Ta ostatnia instytucja informuje, iż z dniem 1 kwietnia 1979 „następuje zmiana konfiguracji przy obsłudze linii na trasie Warszawa—Madryt—Warszawa". Na czym ta zmiana polega, nie napiszemy, gdyż LOT równie dobrze może się ogłosić (za pieniądze) w „Kamenie". A swoją drogą nasuwa się pytanie, czy w Madrycie ma się wkrótce odbyć jakaś wielka wystawa psów rasowych?

Pośpiech

Chełm się pośpieszył i jeszcze przed oficjalnym oddaniem do użytku hotelu „Kamena" powołał do życia Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Turystyczne, które posiada tylko ów hotel. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Turystyczne w Lublinie, które, gdyby Chełm się nie wyodrębnił, musiałoby dokonać olbrzymiej pracy przy uruchomieniu hotelu, (głównie chodzi tu o kadry), śmieje się w kułak. A tymczasem na linii dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Turystycznego w Chełmie — dyrektor hotelu zarysowały się spory na temat kompetencji: kto ma angażować ludzi. Spór rozstrzygnięto wysoko. Nie zmienia to jednak faktu, że z wykwalifikowanym personelem więcej niż krucho. Takie mamy czasy — łatwiej dziś o dyrektorów niż o recepcjonistów!

POLONICA KULTURALNE

W Nowogródku zakończono prace przy rekonstrukcji Domu-Muzeum Adama Mickiewicza; w odnowionych salach wystawiono 3 tys. eksponatów. Od chwili otwarcia Muzeum zwiedziło ok. miliona osób.

• • •

W Kijowie obradowała międzynarodowa konferencja UNESCO „Współczesne kultury słowiańskie: rozwój, wzajemne oddziaływanie, kontekst międzynarodowy". Jeden z referatów wygłoszonych na sesji plenarnej konferencji przygotował wiceprezes PAN, prof. Jan Szczepański. Jego tematem była metodologia badań problemów kultury.

• • •

Na ekrany dziesięciu kin paryskich wszedł film Andrzeja Wajdy, oparty na opowiadaniu Jarosława Iwaszkiewicza „Panny z Wilka". Recenzje prasy paryskiej są bardzo pochlebne.

• • •

Nakładem moskiewskiego wydawnictwa „Progress" ukazały się „Myśli nieuczesane" Stanisława Jerzego Leca w przekładzie i z przedmową W. Roswelsa.

• • •

W siedzibie RWPG w Moskwie otwarto wystawę „Szpital — Pomnik Zdrowia Dziecka — najlepszym darem Polski w Międzynarodowym Roku Dziecka".

• • •

W Kijowie czynna była wystawa książek Wydawnictwa „Arkady", na której pokazano 250 publikacji poświęconych sztuce, architekturze i budownictwu.

• • •

W leningradzkim Ermitażu otwarto wystawę „Sztuka realizmu w Polsce — tradycje i współczesność", która w kwietniu br. eksponowana była w moskiewskim „Maneżu" z okazji Dni Kultury Polskiej w ZSRR.

• • •

W programie zorganizowanych w Łotewskiej SRR Dni Województwa Szczecińskiego wystąpiła orkiestra Filharmonii Szczecińskiej.

ekran i widz

Gwiazdy na sto i pięćdziesiąt procent

PRZEZ nasze ekrany żegluje sobie z wakacyjnym wiatrem francuska komedia Claude Zidi „Dubler", a w niej Jean Paul Belmondo i jego amerykańska partnerka Raquel Welch. Właściwie to film nazywa się „L'animal" — „Zwierzę", ale nasi dystrybutorzy wyszli zapewne z założenia, że zwierzęta nie są dla Polaków specjalną atrakcją, zwierzęta mamy i na pastwiskach i w ogrodach zoologicznych, natomiast dublerów w polskim filmie brakuje. No, i — co tu ukrywać — Belmondo w tym filmie kolejny raz dubluje... samego siebie.

Chociaż nie: w żadnym jeszcze filmie nie występował jako fałszywy goryl, a tutaj sięgnął między innymi i po takie „wcielenie". Mój Boże, gdzież się podziały te lata, kiedy Jean Paul umierał z żałosnym grymasem na ustach w godardowskim „Do utraty tchu" albo smęcił się u boku Jeanne Moreau w „Moderato cantabile?"

Lecz może dopiero w komediach de Broki i im podobnych — gdzie obok rozbrajającego uśmiechu francuskiego „kochanego łobuza" mógł wykazać się doskonałą sprawnością fizyczną — odnalazł swoje właściwe aktorskie powołanie? U początku kariery kreowano Belmonda na aktora wybitnego — ostatecznie wykształcił się u niego aktor doskonały, występujący w filmach przeciętnych. Sam Belmondo wydaje się być z tego obrotu rzeczy zadowolony: film traktuje chyba bardziej jako karkołomną przygodę niż trybunę, z której miałby mówić prawdy wielkie i istotne.

W „Dublerze" znane ambicje popularnego „Bebela", żeby w niebezpiecznych scenach nie korzystać z pomocy kaskaderów, doszły do zenitu. Sam gra kaskadera, który zastępuje słynnego aktora (w tej roli również występuje Belmondo) walcząc z bengalskim tygrysem, brawurowo prowadząc samochód, wreszcie — przeskakując, na wysokości dwóch tysięcy metrów z helikoptera do kabiny samolotu, który prowadzi występująca również w roli kaskadera Raquel Welch. Podobno producenci zgodzili się na realizowanie tej sceny dopiero na samym końcu, już po nakręceniu całego pozostałego materiału filmowego. Na wszelki wypadek.

Komedie Zidiego nie odznaczają się artyzmem: są płaskie, banalne i niejednokrotnie już nasza krytyka protestowała przeciwko spowadzaniu do Polski kosztem innych, wartościowych pozycji — także komediowych — prawie całej bieżącej produkcji płodnego reżysera. W „Dublerze" Zidi nie poskąpił nam przynajmniej autentycznej emocji: ekwilibrystycznych popisów Belmonda oraz... doskonale eksponowanych kształtów Raquel Welch.

Nie liczy się w tym filmie aktorstwo, lecz sprawność fizyczna i aparycja, i przy takim właśnie założeniu Raquel Welch jaśnieje nieskażonym blaskiem, jako że jej aktorstwo nigdy nie było zbyt wysokiej próby.

W „Dublerze" Raquel może w pełni wygrywać swój atut: umiejętność łączenia „statusu" luksusowej kobiety z wrodzoną sprawnością fizyczną oraz fizyczną odpornością. Należy do tych zgrabnych, wysokich „promiennie uśmiechniętych" amerykańskich aktorek, które wspaniale prezentują się w futrach z norek, ale równie zdrowo i hożo wyglądają w chwilę po zrzuceniu ich na ziemię z drugiego piętra, lub po wyciągnięciu ich z błotnistej sadzawki pełnej aligatorów.

Podobny nieco typ — chociaż bardziej w stylu nowoczesnej, zagadkowej (lecz dobrze wysportowanej) femme fatale, reprezentuje inna gwiazda, Ursula Andress. Wysoka, długo — i złotowłosa blondynka, zaczęła swego czasu od ról u boku Seana Connery alias Jamesa Bonda, agenta 007, w filmach „Doktor No" oraz „Casino Royal", aby z biegiem lat — mimo niezaprzeczalnych zdolności — dojść do takich „dzieł" jak niedawne „Wzgórza boga kanibalów", gdzie „obnażona i przywiązana łańcuchami do słupa wzbudza ogromną nienawiść i oburzenie męskiej części publiczności do praktyk stosowanych przez ludożerców" — jak słusznie stwierdził na łamach jednego z naszych czasopism filmowych Janusz Skwara.

Ursula Andress, mając na to wszelkie dane, nigdy nie została stuprocentową gwiazdą. Może trafiała ciągle do fałszywych konstelacji, a może po prostu jest tak, że kobiety zbyt silne i zbyt odporne na działanie sił natury, cieszą wprawdzie oko mężczyzny, lecz rzadko zdarza się, żeby potrafiły podbić jego serce i umysł.

Chyba podobnie rzecz się przedstawia z Raquel Welch. Z początku wszystko szło jak należy. Dziewczyna, którą „widać było z daleka", obdarzona autentycznym estradowym talentem tanecznym i wokalnym, już jako szesnastolatka została spikerką TV. Zdobyła następnie — w odpowiednich konkursach — tytuł Miss Fotogenii i Miss Kształtów, była w Dallas modelką, a wreszcie trafiła do Hollywood. Nakręciła około trzydziestu filmów.

My oglądaliśmy ją w jednym z pierwszych: „Milion lat przed naszą erą", gdzie dostaje bezustannie za swoje jako niedoszła ofiara różnych pterodaktylów i obiekt pożądania pitekantropusów. Epatowała również polską widownię niezwykłą odpornością na zakusy podłych rzezimieszków w westernie „Sto karabinów", oraz jurną wesołością — w przygodach „Trzech..." a następnie „Czterech Muszkieterów".

Jej drogi skrzyżowały się w 1971 r. z drogami Ursuli Andress na planie „bondowskiego" filmu „Casino Royal" i podobnie jak w przypadku Ursuli, kariera filmowa Raquel Welch nie zdołała się sprawdzić w stu procentach. Jest znana, ale pozostaje w kręgu tych gwiazd, które jak niektórzy literaci lub dziennikarze zapowiadają się „dobrze i długo". Do takich pięćdziesięcioprocentowych gwiazd zaliczać się będzie też z pewnością głośna ostatnio Farah Fawcett-Majors, bohaterka amerykańskich seriali detektywistycznych. Film z jej udziałem, „Aniołki Charliego", pokazała nam cicho i bez rozgłosu 22 maja polska telewizja. Słusznie.

M.D.

POCZTA literacka

A. B. SOPOT. W tych wierszach jest dużo świeżości, ale mam wrażenie, że jest to świeżość wynikła z nieoczytania, więc z nabraniem doświadczenia zniknie. Czy mam jednak namawiać Pana do zaniechania rozwoju? Oto jeden z paradoksów poezji. Z pewnością będzie tak, że poczuje się Pan wkrótce w zagubieniu, w depresji wobec treści, które zaatakują Pana przez lekturę, ale i ten stan w końcu zaowocuje korzystnie. W poezji trzeba być i skromnym z powodu osiągnięć innych i przeświadczonym, że jest się jedynym, który dany stan świadomości potrafi wyrazić. Ale dość już tych paradoksów. Życzę powodzenia.

A. K. LUBLIN. Nie, proszę Pani. To wszystko nie tworzy całości. Jest autorskim złudzeniem, że słowo prozy można przeciągnąć ponad wytrzymałość słowa poetyckiego. Czytam i w ogóle nie wiem o co chodzi. Oczywiście może mi to Pani mieć za złe i z pewnością tak jest, ale bez trudności można wykazać, że tak daleko posunięta eliminacja, kondensacja „zbędnych" miejsc dookreślenia uczyniła tekst nieczytelnym. Czy zrozumie Pani książkę, w której co drugie zdanie zostało usunięte? A przecież jej autor tak samo może odwoływać się do domyślności czytelnika, odżegnywać się od łopatologii. Rzecz w tym, jaką to spełnia funkcję. Swój tekst zasnuła Pani takim cieniem, że w pewnym momencie musiałem od niego odetchnąć sięgnąwszy po poczciwą dziewiętnastowieczczyznę. Ten sposób pisania to żadna „wyższa szkoła jazdy". To bardzo często ułatwienie polegające na uniku przed wymaganiem wyraźnego określenia charakterów, sytuacji, konfliktów. Wszystko okrywa „mgiełka", która to mgiełka jest mętnym zmrokiem.

R. C. WĄGROWIEC. Pańskie uwagi na temat współczesnej poezji mają ten urok, że są czynione z daleka od tematu. Nie chcę powiedzieć, że z daleka od pewnych racji, pewnych stanowisk niepodważalnie słusznych. Mają tylko tę właściwość, że nie uwzględniają realiów, a te są uparte. Lubię kiedy niekiedy przeczytać wyznanie wychodzące z pozycji czasu minionego poetyk i poezji nobliwie zaksięgowanych w historii. Ale rzeczywistości esejem się nie zmieni. Zmienić ją może tylko inna rzeczywistość, a to znów zależy od procesów i zjawisk tzw. obiektywnych. Nie wiem, czy zna Pan wiersz Gałczyńskiego „Skumbrie w tomacie". Oczywiście jest on wieloznaczeniowy, ale posłużyć może i na nasz użytek. Jest tam mowa o tym, że król Władysław Łokietek przyszedł do pewnej redakcji powiadomić, że „idzie na Polskę robić porządek". W redakcji kazali mu wrócić do groty. Na miejsce Łokietka podstawmy sobie dajmy na to Wyspiańskiego, a na miejsce Polski poezję — i mamy odpowiedź. Życzenia choćby najpobożniejsze, lecz anachroniczne niczego nie zmienią.

S. T. STALOWA WOLA. Lubię prozę skondensowaną, dynamiczną, zawierającą zaskakujące sformułowania. Ale Pan te wymagania realizuje dopiero ostatnimi zdaniami swoich „kawałków". Zgoda — pointa przede wszystkim, ale czy cały tekst poprzedzający ma być uformowany według innej poetyki? Konsekwencji, autorze!

A. M. GDAŃSK. Bywają potrawy sporządzone dokładnie według książki kucharskiej, a jednak w zetknięciu z podniebieniem nie wywołujące pożądanego efektu. To samo mógłbym powiedzieć o pańskich wierszach. Co im zarzucić? Obrazowanie jest poprawne, nawet oryginalne, słowo — że tak powiem — w dobrym gatunku, filozoficzna podbudowa nieschematyczna. Tylko — jak na mój gust — jest tam za mało tzw. substancji lirycznej, tego elementu poezji, który skutkuje tam, gdzie zawodzi intelekt, filozofia, analityczne poznawanie rzeczywistości. Czyżby uparł się Pan pisać wiersze bez serca? Owszem, można i tak, nawet z dobrymi rezultatami, jak dowodzi przykład międzywojennej awangardy. Tylko tam — w przeciwieństwie do dzisiejszej — było wiele stylistycznego ryzyka, czyli elementu poezji przez nieobliczalność miłego, natomiast u Pana widzę skuteczne zastosowanie wzorca. Jak wspomniałem, nie do jednego Pana się to odnosi, ale jeśli pyta Pan o „prywatne" wrażenie wyniesione z lektury tych wierszy, moja odpowiedź jest taka. Wyraz „prywatny" umieszczam w cudzysłowie, ponieważ w ogóle nie inaczej przyjmuję poezję. Nie prywatnie mogę tylko o tym komunikować.

Z. G. KIELCE. Pańskie fraszki są i dowcipne i celne, ośmieszają jednak zjawiska zbyt mało ważne, by można je potraktować z myślą o druku. Są to dykteryjki w stylu żarcików o znajomych, nie satyra społeczna. Proponuję — że tak powiem — zwaloryzować krąg widzenia.

B.M. Będzin, S.R. Przasnysz, W.G. Zamość, L.K. Puławy, J.J.K. Lublin, J.N. Dęblin, J.K. Słupsk, B.M. Lublin, Z.L. Grodzisk Maz. — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 13)

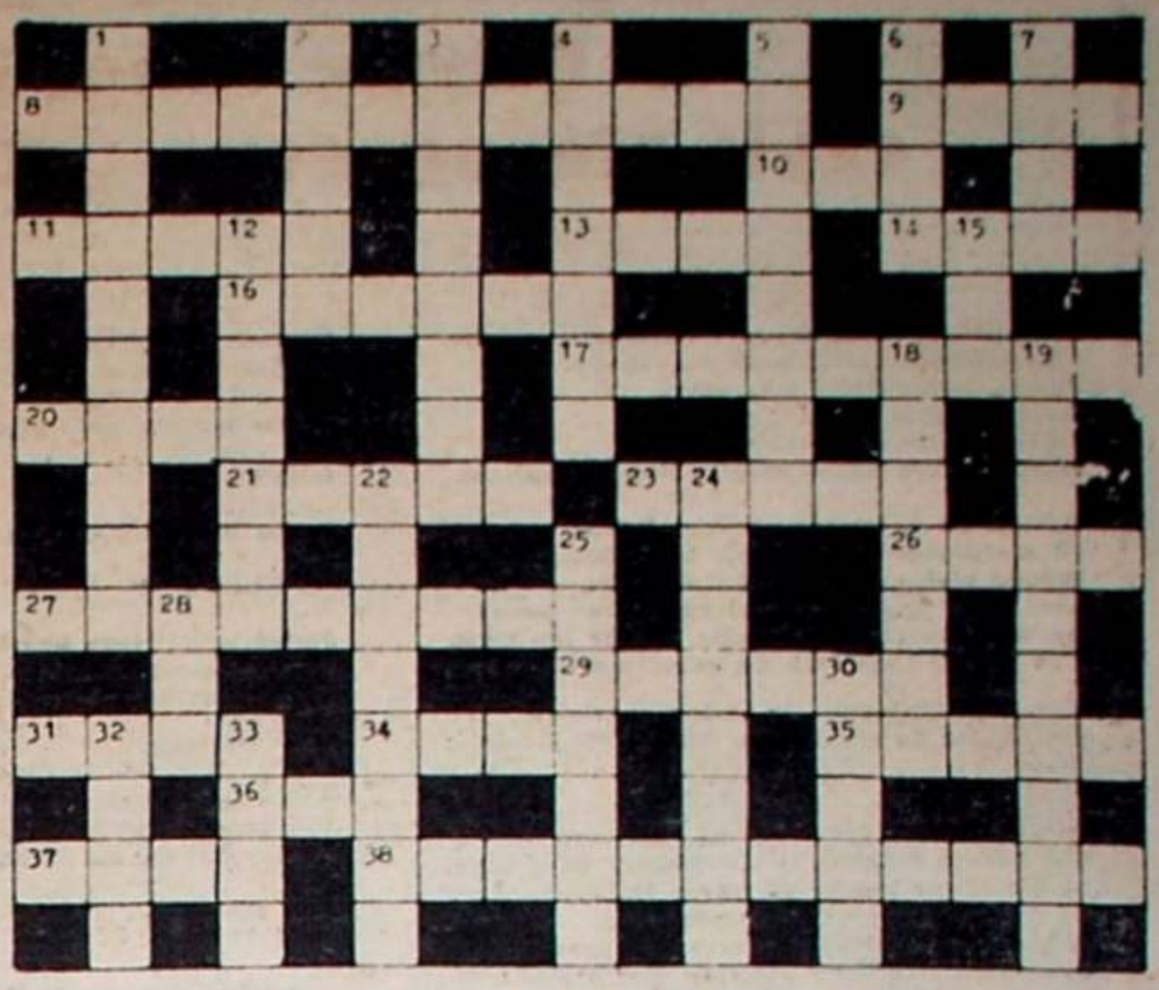

Poziomo: 8. tytułowy bohater powieści Sienkiewicza, 9. druga rzeka Polski, 10. grecki bóg wiatrów, 11. twórca alfabetu telegraficznego, 13. nazwa zespołu realizatorów filmowych w Polsce, 14. czarne w romansach cygańskich, 16. miasto wojewódzkie, 17. Ewa Szelburg, 20. miasto wojewódzkie, 21. Gałczyński napisał o trzech, a tu tylko jeden, 23. arabski władca, 26. willa Szymanowskiego w Zakopanem, 27. dramat Lermontowa, 29. dziedzina plastyki, 31. angielski grosz, 34. futro z tchórzy, 35. potraw, 36. rzeka Portugalii i Hiszpanii, 37. zwierzę hodowlane, 38. prezes Związku Literatów Polskich.

Pionowo: 1. poetka polska, która ma swe osiedle w Lublinie, 2. lotnisko dla Soczi, 3. pokrewieństwo wstępne najbliższego stopnia, 4. miejscowość koło Sandomierza słynąca przetworami owocowo-warzywnymi, 5. wrota stodoły, 6. pomost w morze, 7. potłuczone cegły i kamienie, 12. rozbierany na części kajak, 15. kompozytor rosyjski, jeden z „Potężnej gromadki", 18. kasynowa gra w karty, 19. poeta okresu Oświecenia, autor „Powrotu posła", 22. państwo skandynawskie, 24. pisarz i bibliofil lubelski, znany jako ks. Ludwik, 25. król perski wojujący przeciw Grekom, 28. prawy dopływ Wisły, 30. poeta bułgarski z XIX wieku, bojownik o wolność, 32. bajkopisarz grecki, 33. sztuczny zbiornik wodny.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 11.

POZIOMO: szelest, gwiazda, Zorro, świat, album, Hera, role, eskadra, robota, znawca, Spa, aut, Promiński, alt, Ala, Serbia, ojciec, trakcja, Atos, knot, Strug, sanie, Solec, analiza, Nikozja.

PIONOWO: Seghers, ława, szansa, Tot, gra, Wolarz, ażur, antenat, śruba, morwa, Karpiński, eternit, aneksja, Opole, cugle, Aspazja, trzos, Aisne, Achtuba, arkusz, Ojraci, styl, kino, Goa, sen.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z nr 11 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Maria Karska 11-022 Gilawy, woj. olsztyńskie, Anna Grum 20-607 Lublin, K. Walenroda 2/2, Katarzyna Kulińska Lublin Kiepury 11, Teresa Bielecka 31-511 Kraków, Rakowicka 2/4.

Listy do kameny

GŁOS NAJBARDZIEJ ZAINTERESOWANEJ

Szanowny Panie Redaktorze

Do toczącej się pomiędzy Maciejem Podgórskim a Stanisławem Harasimiukiem polemiki nie miałam zamiaru się włączać, pomimo że dotyczy ona mojej skromnej osoby. Wytrzymałabym zapewne w tym postanowieniu, gdyby nie bezprzykładny upór, z jakim Harasimiuk trwa w kłamliwych mniemaniach, wbrew obiektywnym faktom.

Otóż chodzi — po pierwsze — o stanowcze jego oświadczenie: „Niczego nie zakłamałem. Konfrontacja 3 marca 75 miała miejsce. Właśnie w tym dniu. W aktach sądowych jest szczegółowy, urzędowy z niej protokół". Niestety, pan reporter zakłamał. Byłaby to wielce oryginalna konfrontacja, gdyby się odbyła w potwierdzanym tak twardo przez Harasimiuka terminie. Ale odbyć się nie mogła, ponieważ w tym czasie przebywałam w szpitalu klinicznym nr 4, na co mam dokumenty.

Po drugie — Harasimiuk pisze w „Tygodniku Kulturalnym" w sprawie rzekomego wykonywania przeze mnie plansz reklamowych dla sklepów meblowych: „Była to zresztą typowa sztuka dla sztuki, mówi pani Zenobia bo po pierwsze meble można kupić wyłącznie w sklepach meblowych, a po drugie nawet bez reklamy ludzie wszystkie wykupywali z magazynu, nim zdążyły trafić do sklepu". Pan reporter przypisuje mi słowa, których n i g d y nie wypowiedziałam, pana reportera n i e z n a m, nie wiem nawet jak wygląda, a na domiar wszystkiego n i g d y ż a d n e j pracy dla handlu meblami nie wykonywałam, co również jest do sprawdzenia.

Po trzecie — Harasimiuk informuje, że restaurowane przeze mnie kamienice nr 10 i 11, pochodzące w części elewacyjnej z 1954 roku, stanowią nieudane imitacje (czego? — Z. K.), których renowacja była chybiona, zaś w przyszłości mają być restaurowane „wedle swego pierwotnego wystroju".

Pan reporter nie pamięta zapewne, że w 1954 roku na lubelskiej starówce prace wykonywali wcale nie najgorsi artyści (w tym prof. Cybis i Szczepański, państwo Grześkiewiczowie, W. Filipiak), udostępnione im były pierwszorzędne barwniki, o których teraz daremnie się marzy, a nad całością prac czuwała specjalna komisja rządowa. Teraz raczej trudno będzie restaurować wszystko „według swego pierwotnego wystroju" z tej prostej przyczyny, że brak jest na ten temat przekazów.

Owszem, prowadzone obecnie wnikliwe badania w odniesieniu do niektórych kamienic przynoszą nowe odkrycia, które zostaną uwzględnione przy kompleksowej rewaloryzacji starówki, ale akurat kamienice nr 10 i 11 mają być utrzymane w stanie z 1954 roku, co łatwo mógłby sprawdzić Harasimiuk w lubelskich PKZ, czego jednakże w swej „uczciwości" dziennikarskiej nie uczynił.

Z poważaniem
Zofia K.

„POD BUDZISZYNEM WTEDY I PO LATACH"

Nawiązując do artykułu płk. rez. Wiktora Szaronia zamieszczonego w 10 nr „Kameny", pragnę sprostować drobne nieścisłości, które zauważyłem w tekście.

24 Pułk Artylerii Pancernej w okresie II wojny światowej nosił nazwę 24 Pułku Artylerii Samochodowej, co było konsekwencją mylnego przetłumaczenia rosyjskiego słowa: samochodnyj (samobieżny) na „samochodowy".

Dowódca pułku, płk. Wiktor Artiomienko, zginął nie w Rothenburgu, lecz nad ranem drugiego dnia natarcia kilka kilometrów od Nysy, razem z dowódcą jednej z brygad pancernych I Polskiego Korpusu Pancernego.

Dowództwo pułku po płk. Artiomience objął nie ppłk. Teodor Koleśnik, który przybył do pułku w terminie późniejszym, lecz dotychczasowy szef sztabu: mjr Kudinow.

Fakty powyższe były mi dobrze znane, gdyż w tym czasie pełniłem w 24 PAP obowiązki szefa kancelarii sztabu pułku.

Zdzisław Kamiński
kpt. w stanie spocz.
Lublin

SPORT I WYCHOWANIE

Mój kilkunastoletni i niezle wyrośnięty syn zapałał sympatią do kolarstwa, więc postanowiłem zapisać go do dobrej, jak mi powiedzieli znajomi, sekcji kolarskiej lubelskiego „Startu". Dzisiaj pluję sobie w brodę za podjęcie takiej decyzji i unikam rozmów z synem na tematy kolarskie, które on przedłuża na dyskusje o poczuciu odpowiedzialności ludzi dorosłych. Rzecz w tym, że trener „Startu", pan P., po dokładnym obejrzeniu młodego kandydata na kolarza polecił mu z miejsca zapisać się do klubowej sekcji (drobna opłata) i obiecał rower: początkowo stary (ale wyścigowy!), po pewnym czasie nowy, potem znów stary. Cała zabawa w niespełniane obietnice trwała ponad miesiąc, podczas którego kilkakrotnie odwiedziliśmy obiekt „Startu" przy al. Zygmuntowskich, aż syn doszedł do słusznego wniosku, że ma dosyć tej historii o nazwie nieodpowiedzialność dorosłych. I jak tu budować autorytet starszych w oczach młodzieży? Rozumiem, w tym czasie „Start" miał pewne kłopoty ze sprzętem kolarskim, ale po co to ciągłe zwodzenie chłopaka? Oczekuję od „Startu" zwrotu wpisowego (adres w deklaracji niedoszłego zawodnika). Nie chodzi zresztą o te kilka złotych, ale o zasadę.

I. Kamiński
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamał: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Henryka Szmidta

Nr indeksu 36351

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1979/13

Eligiusz Ristow

O Odysie rzecz niedobra czyli starogrecka „Kobra"

Przy wtórze formingi niech głoszą te strofy
Dzieje niewierności, czyli katastrofy.
Zaspokajając istniejący popyt,
Autor opisuje dzieje Penelopy
I Ulissesa, zwanego Odysem,
Wszystko jak najwierniej z Homera opisem.

Więc cisza na morzu i wyspa Itaka.
(W starożytności się dzieje ta draka.)
Dokoła niebiesko i boski wód lazur,
Lecz stop! Ktoś zaostrzył satyry lwi pazur,
By w krzywym zwierciadle ukazać ten epos,
Czy zechce Czytelnik uwierzyć mu ślepo?

Redakcja dłużyzny nie zechce zamieścić,
Stąd autor do maksimum musiał się streścić:

* * *

Wiadomo, że Odys przez los opuszczony,
Lat siedem z okładem nie widział swej żony,
Że wrócił na koniec na swoją Itakę,
Że zalotników przyłapał tam pakę,
A kiedy się z nimi jak trzeba rozprawił,
Przywołał swą żonę i tak do niej prawił:

ODYS

Z woli bóstw nieprzyjaznych straciwszy okręty,
Byłem przez Kalipso, nimfę, zagarnięty.
Siedem lat przesiedziałem na wyspie Ogigii,
Wśród drzew cytrusowych, nektarów i gif i...
Przez nimfę z boskiego Ateny wyroku
Uwolnion zostałem... łza kręci się w oku...
Później byłem w gościnnej krainie Feaków,
Z gościnności podobni bardzo do Polaków!
Następniem przebywał w Lotofagów kraju.
Nie pomnę dokładnie czy w kwietniu, czy w maju
Wór wiatrów dostałem od bożka Eola, a juści
Któryś z towarzyszy na wiatr je wypuścił.
Więzić chciał mnie Cyklop, alem go oślepił.
Za to się Posejdon zły do mnie przyczepił.
Okręt mój, przez zemstę, roztrzaskał o skały,
Alem jakoś dobrnął.

PENELOPA
(z zachwytem)

Ty jesteś wspaniały!...

ODYS
(kontynuuje opowieść)

Córka króla Feaków, boska Nauzykaa
Dała przyodziewek.

PENELOPA
(z zaciekawieniem)

To młoda podwika?

ODYS
(zniecierpliwiony)

Proszę, nie przerywaj, małżonko łaskawa!

PENELOPA

Hm... O przerywaniu istnieje ustawa,
Która daje kobiecie wielkie przywileje!

ODYS

Pozwól, że dokończę, zanim kur zapieje!...
Pod Troją widziałem na pobojowisku
Wśród trupów i rannych, wśród resztek pocisków,
Stosy zbroi i tarcz niepotrzebnych nikomu...

PENELOPA

Trzeba było dostarczyć na punkt skupu złomu!
Byłby plan wykonany zapewne z nadwyżką.

ODYS

Nie przerywaj, prosiłem, droga towarzyszko!
Tęskniąc za Itaką w cudzoziemskich portach
Myślałem o tobie.

PENELOPA

Nie zapalisz „Sporta"?

ODYS

Zaprawdę troskliwaś i dobraś niewiasta,
Lecz choć sport to zdrowie, wolę raczej „Piasta",
Podobno nikotyna powoduje raka.
Słyszałem to już z ust pewnego Feaka.

(Zaciąga się głęboko, puszcza kółka z dymu i rozglądając się po mieszkaniu, mówi:)

Od tego big-beatu już puchnie mi głowa.
Ścisz radio!

PENELOPA

To wszystko przez tego Popowa!

ODYS

Przepraszam, lecz muszę Popowa obronić,
Nie tylko on winien. Był jeszcze Marconi.

PENELOPA

Co tam radio! Mnie męczą życiowe realia:
Bielizny namoczonej stoi pełna balia.
Chciałam w tym tygodniu robić wielkie pranie,
Ale nie wiem, czy „E" proszek drogeria dostanie.
Dobry bardzo. Sam pierze. Zawiera enzymy.

ODYS

Znam wiceministra, więc rzecz załatwimy!

PENELOPA

Jesteś boski! Gdy będziesz rozmawiał z tym panem,
Poproś jeszcze o kilo mąki ziemniaczanej,
Której znaleźć nie można ze świecą od roku.

ODYS

To już nie zależy od boskich wyroków.
Skończ o praniu. Opowiedz, jak życie pędziłaś,
Czy bardzo za swoim małżonkiem tęskniłaś.

PENELOPA
(tęsknie)

Sama, opuszczona, biedna, gola, bosa,
Bez żadnych rozrywek, ot, czasem na Klossa
Skoczyłam do Klubu, lub nieraz z wieczora
Wpadłam, by obejrzeć Bonanzę lub Zorra.
Ni widu, ni słychu. Zginąłeś bez wieści,
Szukałam przez radio, w „Przekroju", w „Izwiestii"...
Myślałam, żeś zginął. Dziś tego się wstydzę.
Tyś wielki, odważny, podobny Telidze.

Tęskniłam za tobą, jakem Penelopa,
Wiesz dobrze, co znaczy kobieta bez chłopa.
Niech sławią cię wody i słońce i ptaki,
Wiernego małżonka, Odysa z Itaki!

ODYS

Gdym płynął do Ciebie, stęskniony za chatą
Okrętów widziałem eskadry. Te z NATO.
Na statkach tych broń jakaś była, nie lira,
Być może płynęły z ładunkiem na Iran...
Zmęczony, przybity nieszczęsną swą dolą...

PENELOPA

Czy wiesz, że z Księżyca powrócił „Apollo"?

ODYS

Niewiasto, czy Zeus ci zmysły pomieszał?
Apollo? Ten młodzik?! Twa gadka rozśmiesza!

(przysłuchuje się szmerom)

Coś w szafie chrobocze, małżonko, czy słyszysz?
Czyżby w naszej chacie zalęgły się myszy?
Lekceważenia przepisów to skutki.
Dawno trzeba było powykładać trutki.

PENELOPA
(zmieszana)

Coś w szafie, powiadasz? Masz pewno omamy!
Daj pokój tym szmerom! Ot, porozmawiamy
O twoich przygodach...

ODYS
(podenerwowany)

Znowu, do selery.
Z szafy wyraźniejsze dochodzą mnie szmery!
Muszę jednak zajrzeć, coś mi tu podpada!

(zwracając się do Penelopy)

Czemu jesteś drżąca, zmieszana i blada?

PENELOPA
(jąkając się niesamowicie)

J...ja ...blada? Cz...czyżby? Wy...wydaje ci się.

ODYS
(z gniewem)

Ha, nieszczęsna! Przejrzałem zamiary twe lisie!

(otwiera szafę, wypada z niej zalotnik)

ODYS

O, wielkie nieba! A czy nie mówiłem?
Tę okrutną prawdę nareszcie odkryłem!
A więc chciałaś ze mnie uczynić jołopa?
A ja uwierzyłem, żeś ty Penelopa!
Oto i ognisko domowe rozbite,
A jam cię za wierną uważał kobitę!
I cóż twoja miłość i wierność są warte?
Tyś na rowerową z nim żyć chciała kartę
Poderwał mi ciebie ten oprych, ten świntuch
A tyś go pieściła, jak córka Koryntu!

PENELOPA
(łkając głośno)

O, przebacz niewiernej, Odysie, mój mężu!...

(do zalotnika)

Idź precz! Czyli nie znasz bajeczki o wężu?
Pozbyłeś mnie cnoty i zasad wierności,
Zmykaj, zanim Odys roztrzaska ci kości!

ZALOTNIK

(do Odysa)

O, panie! Miej litość i oszczędź hołysza!
Uciekłem do szafy, gdym kroki twe słyszał.
U żonym twej często nocami pogościł...

ODYS
(z oburzeniem)
Sądziłeś, że usług tu punkt dla ludności?
Wdziej szaty i pryskaj, bym ciebie nie dopadł,
I babę mą weź. Mam jej dosyć...

(krzyczy)

Penelopa!...

* * *

Wydźwięk tego wiersza nie nowy, nie świeży:
Źle czyni zapewne, kto zanadto wierzy!
Szkoda i Odysa i żal Penelopy.
W którą tak wierzyły ludy Europy.
Z treści epopei morał i nauka:
Wierności dochować — nadludzka wręcz sztuka.

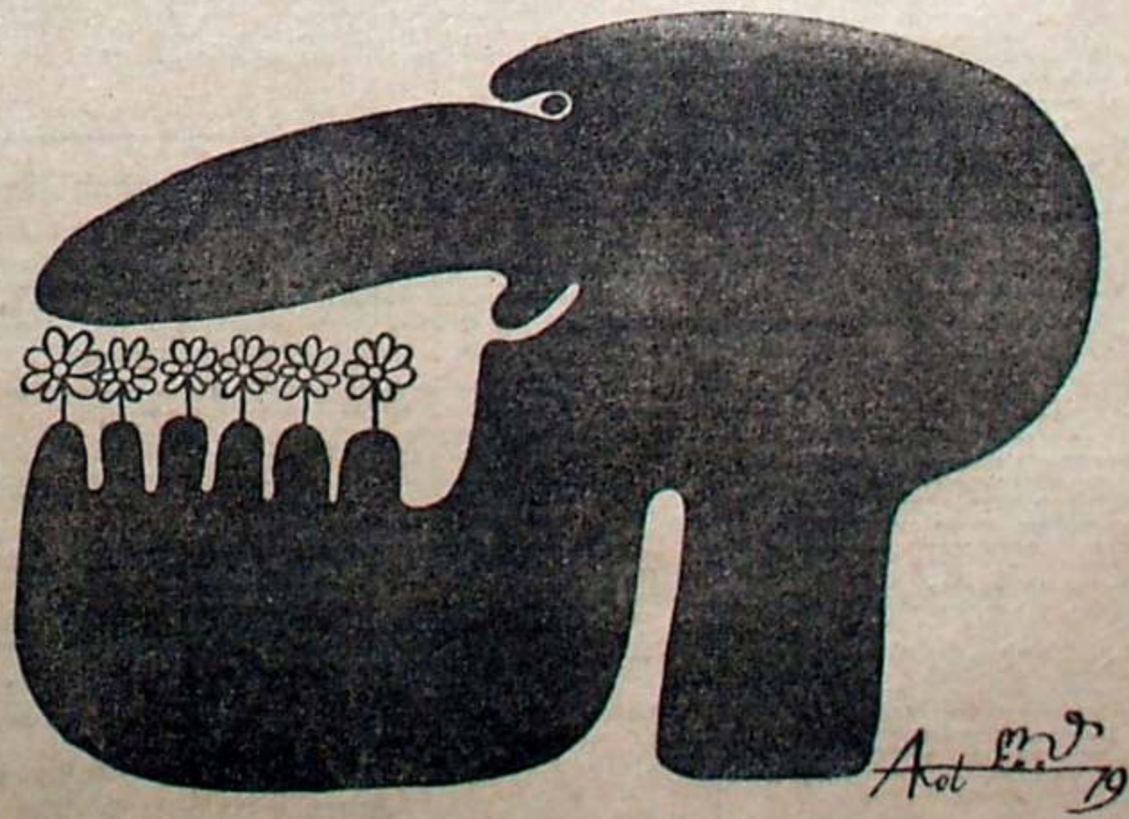

Rys. Andrzej Kot